

# Kamena

Rok założenia 1933

LUBLIN 30.VIII.1970 Nr 18 (451)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

## Tańczą ludzie nietoperze

Ireneusz Kossowski

**P**IERWSZY wieczór, jess-cze nieoficjalny, zaczął się dosyć banalnie; pewna pani z bydgoskiego wpadła po pijanemu do piwnicy domu wczasowego (o głębokości 3 metrów) i zwichnęła sobie nogę. Jak się okazało, opłaciło to się jej sennie, ponieważ otrzymała odszkodowanie w wysokości 6 tysięcy złotych. Przyjechawszy do lekarza spotkała się z wielkim współczuciem. Chirurg powiedział: „Pani taka urocza, czy nie szkoda pani?” Pani odpowiedziała: „Nie, ponieważ byłam zamoczona”.

Pierwszy wieczór oficjalny, kiedy niemal wszyscy pensjonariusze zjechali się do wielkiej willi, narzeka jej nie jest istotna, rozpoczął się po kolacji. Pani kierowniczka domu wczasowego powiedziała, żeby nie traktować pokojowych jak zwykłych sprzątaczek, bo to nie są sprzątaczkę, ale gospodynie domu, które przy okazji sprzątają, a zdarzało się, że traktowano je jak zwykłe sprzątaczkę, co było dla nich bardzo nieprzyjemne i prowadziło do konfliktów.

I w ten prosty sposób zorientowano nowy turnus w problematyce hierarchii zawodów w Polsce, co okazało się jednym z nielicznych uwalorów poznawczych tych wieczorów.

A w ogóle — ciągnęła kierowniczka — my bardzo lubimy, jak się nazi wczasowicze uśmiechają, my też lubimy się uśmiechać, ale do momentu, kiedy wczasowicze zaczynają wynosić ze stołówki naczynia i noże, co powoduje duże straty, które muszą pokrywać kelnerki.

— To ja proponuję — utraciła tępa pani ze środka sali — żeby za pokwitowaniem rozdać każdemu sztućce, a może też plastikowe woreczki jako pokrowce. W Dużniakach tak było i było dobrze, a ja po wczasach dużo jeździę i wiem, że z tymi rzeczami jest źle.

Dokończenie na str. 6

## Szkoła czy „antyszkoła”?

Bohdan Komorowski

**W**OBLICZU nowego roku szkolnego niejedyn obywatel naszego kraju, uczulony zarówno na sprawy przeszłości, jak teraźniejszości i przyszłości, popadnie w zadumę i poczyni anuś na przemian smętne i radosne refleksje. Smętne, bo przed kilku laty przeżywał wrzawę na łamach prasy na temat bezzasadności egzaminu maturalnego. Radosne, bo teraz też sama prasa karmi go słowami pokrzepienia i otuchy głosząc, że zaostrzenie rygorów maturalnych będzie skutecznym zabiegiem przeciwko obniżeniu poziomu maturzystów. Oto bowiem ostatnie egzaminy wstępne na uczelnie wyższe zasygnalizowały niepokojąco słabe przygotowanie kandydatów, czemu trzeba przeciwdziałać.

### Czyżby kryzys „ogólniaka”?

Najbliższe lata zweryfikują słusność ostatnich zarządzeń o ustanowieniu dwóch typów dokumentów stwierdzających ukończenie szkoły średniej. Chodzi o: 1) świadectwo posiadania wykształcenia średniego uprawniające do wstępu do tzw. szkół pomaturalnych, 2) świadectwo upoważniające na podstawie egzaminu maturalnego do ubiegania się o wstęp na uczelnie akademickie. Przez ogień prób i doświadczeń przejdzie również koncepcja tak zwanych zajęć fakultatywnych w ostatniej klasie liceum ogólnokształcącego polegających na tym, że uczniowie poza przedmiotami obowiązkowymi dla wszystkich bez wyjątku wybierają sobie jedną z następujących grup: humanistyczna, matematyczno-fizyczna, chemiczno-biologiczna, geograficzno-ekonomiczna i językowa; ci zaś, którzy rezygnują ze studiów wyższych, przejdą kurs przysposobienia zawodowego. W ten sposób jedną będą się wdrażać drogą zajęć seminaryjnych do stylu pracy na uczelni wyższej, drudzy zaś — przysposobieni do określonego zawodu — nie poczują się zawieszani w próżni po ukończeniu „ogólniaka”, którego kryzys wieszczą głosiciele lepszego przygotowania do życia, studiów i zawodu.

Jak problem zajęć fakultatywnych i przysposobienia zawodowego rozwiążą licea w miasteczkach i osiedlach cierpiących chronicznie na brak wykwalifikowanych nauczycieli, warunków obiektowych i odpowiedniej liczby uczniów? Co pocznie odnosić na egzaminach wstępnych na uczelnie wyższe ci maturzyści, którzy nie mają przysposobienia zawodowego, rezygnowali bowiem z niego, nastawiając się na studia? Oto pytania, które dręczą będą w ciągu lat najbliższych, a jednocześnie budzić coraz większy szacunek dla rozbudowującego się z wielkim rozmachem i mocno zróżnicowanego szkolnictwa zawodowego.

### Polowanie na czarownicę

Tymczasem słyhać tu i ówdzie „nopleńskie swary” i wzajemne dyskryminacje. Uczelnia wyższa dyskredytuje szkołę średnią, lamentując nad jej absolwentami. Szkoła średnia pomatuje na uczelnie wyższe za dostarczanie jej nie zawsze wartościowego narybku nauczycielskiego. No bo skoro nauczyciele się uczą, to można mieć tylko pretensje do szkolnictwa pomaturalnego i wyższego o to, że albo za mało wiedzy merytorycznej wpała studentom, albo nie umie ich porwać i zainteresować, albo też daje słabe przygotowanie pedagogiczne. Poza tym najwybitniejsi nawet nauczyciele są bezsilni wobec nie przesłanej masy uczniów.

Owsem, szkoła średnia w pełni spełnia rolę demokratyczną w szkolnictwie, ale widzi w niej pewne trudności na drodze do osław-



Fot. Janusz Urban

## W 350 rocznicę śmierci Stanisława Żółkiewskiego

**P**OLSKA XVI—XVII w. była mocarstwem, u schyłku XVIII wieku została wymazana z mapy Europy, na początku XX wieku w niełatwych warunkach odzyskała niepodległość, śmiertelnie zagrożoną zaledwie po dwudziestu latach. Ten najbardziej lakoniczny rys ostatniego czterechsetlecia dziejów Polski jest konieczny, by zrozumieć stosunek społeczeństwa polskiego do własnej przeszłości, piętyzmy do walki narodowowyzwoleńczej i czynu zbrojnego. Nic też dziwnego, że postacie wodzów dawnej, szlacheckiej Rzeczypospolitej budziły zawsze powszechne zainteresowanie, a czas tego zainteresowania niejako warunkował ich rysunek.

Wśród wybitnych wodzów i mężów stanu epok minionych Stanisław Żółkiewski zajął miejsce czołowe. Popularność, jaką sobie zdobył Żółkiewski wśród historyków, pisarzy, poetów, malarzy itp. zawdzięcza przede wszystkim swej tragicznej śmierci w odwrocie po bitwie cecorskiej. Przez pryzmat Cecory patrzyli nań wszyscy, widząc w nim męczennika za sprawę, obrońcę Polski. To właśnie jemu Stefan Żeromski poświęcił jeden ze swych najpiękniejszych utworów — „Dumę o hetmanie”.

Tradycja — 350 lat, jakie nas dzieli od śmierci Żółkiewskiego — ukształtowała wśród współczesnych Polaków jego sylwetkę na równi z czynami, których dokonał. Historyk musi jednak odrzucić wszystkie te nawarstwienia, powrócić do wieku XVI—XVII i usiłować odtworzyć postać prawdziwą.

Żółkiewski pochodził ze średniej szlachty. Ojcem jego był Stanisław Żółkiewski, późniejszy wojewoda ruski. Przyszły hetman urodził się najprawdopodobniej w roku 1547. Wychowany był — zgodnie z najlepszymi tradycjami epoki Odrodzenia — na kulturze narodowej i na wzorach antycznych. Mnie uierz — zwracał się do syna w testamencie — z nauki

wielką podporę i wielki ratunek do godności, do służby Rzeczypospolitej, do wszelkiego uczciwego życia mieć będziesz... Historyki koniecznie czytaj. Miałem i sam nie małą wiadomość historii i w biegu spraw siłami się tym ratowałem, żem przeszłych wieków sprawy wiedział. Europę zachodnią poznał podczas poselstwa Jana Zamoyskiego do Francji, wywoząc stamtąd przekonanie o wyższości ustroju polakie-

skiego i poczucie współodpowiedzialności za sprawy państwa. Idealom tym Żółkiewski pozostał wierny przez całe swe życie, mimo iż przyszło mu żyć i działać w epoce narastającej fali kontrreformacji, w okresie załamywania się myśli i dążeń wieku Odrodzenia.

Kancelarz Jan Zamoyski kierował pierwszymi krokami Stanisława Żółkiewskiego w życiu publicznym. Wraz z ojcem należał Żółkiewski

nem Groźnym o Inflanty. Czynnie popierał Zamoyskiego w walce z moimym rodem Zborowskich. Zaangażowany był w całej pełni w wewnętrzna i zagraniczną politykę Batorego, należał, mimo niewyśokich godności, do najbliższych współpracowników króla i Zamoyskiego.

Jako gorliwy „zamoyszczyk” dał się poznać Żółkiewski zwłaszcza w okresie bezkrólewia po śmierci Batorego. Poparł kandydaturę królewicza szwedzkiego Zygmunta Wazy na tron polski przeciwko kandydaturze arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Brał udział w odparciu zbrojnego najazdu arcyksięcia: w bitwie pod Byczyną w 1588 r., jako jeden z dowódców lewego skrzydła wojsk polskich złamał siłami konnicy ciężkozbrojną jazdę cesarską. Podczas ataku otrzymał postrzał w prawe kolano, z którego to powodu chrotał przez całe życie. Zalety dowódcze i dyplomatyczne, poparcie kanclerza i hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego i zasługi położone w czasie walki o tron spowodowały, że młody król Zygmunt III Waza obdarzył Żółkiewskiego w 1588 r. buławą pełną koronną, a w 1590 r. kasztelanią lwowską. Zdobył więc Żółkiewski jedną z najważniejszych godności w wojsku i stanął w senacie, stanął w rzędzie tych, którzy rządząli Rzeczpospolitą.

Rychło jednak zaczęły rozchodzić się drogi polityczne króla i „zamoyszczyków”. Pierwszy — fanatyczny katolik, przepelniony do głębi ideałami wojowniczej kontrreformacji, marzący o „dominium absolutum”, nie rozumiejący, czy nie chrzący rozumieć polskiej racji stanu, nawiązuje bliską współpracę z dworem habsburskim. Drudzy — zwolennicy pełnej tolerancji religijnej, widząc w niej gwarancję spójni wewnętrznej wielonarodowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej, występujący ostro przeciw wszelkim próbom aliansu z Habsburgami, zdają sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństwa, jakie ten alians może przynieść własnemu krajowi.

Dokończenie na str. 5

Wierny Rzeczypospolitej do końca

Adam Andrzej Witusik



go, jako że większość krajów ówczesnej Europy w odróżnieniu od Polski pogrążona była w chaosie krwawych wojen religijnych. Władal doskonale wieloma językami: łacińskim, ruskim, francuskim, włoskim, po części niemieckim. Słowem — młodzieńcy Żółkiewskiego towarzyszyły ideały kultury polskiej doby Renesansu, nie znane w innych krajach ówczesnej Europy, także jak tolerancja religijna, szacunek do ludzi mówiących innym językiem, rzetelna troska obywatel-

do partii „zamoyszczyków”, więc był Żółkiewski wrogiem Habsburgów na tronie polskim, wrogiem „absolutum dominium” króla i tolerancją w sprawach wyznaniowych. Pod okiem kanclerza wyrabiał się na polityka i wodza. Przez wiele lat był sekretarzem króla Stefana Batorego, równocześnie w czasie wypraw wojennych dowodził jako rotmistrz chorągwią jazdy. Walczył przeciw zbuntowanym gdańszczanom, uczestniczył w zmaganiach Batorego z carem Iwa-

Dokończenie na str. 10



CZYLI NOWE LATA POGARDY?

Zmarli

Po długiej chorobie 82-letni pisarz polski Paweł Jasienica. Napisał wiele książek o tematyce historycznej, wśród nich najbardziej znane są „Polska Piastów” i „Polska Jagiellonów”.

Literatura

Olsztyńskie „Pojezierze” wydało wybór satyr, anegdot i opowiadań humorystycznych mazurskich poetów ludowych Michała Kajki i Michała Lengowskiego pt. „Opowiadania uciśnione”.

Teatr

Szwajcarski Theatre de Carouge zapowiada na przyszły sezon „Trzy arcydzieła współczesne”, wśród nich „Kurkę wodną” Wilkacego. Premiera odbędzie się w lutym.

Sztuka

W pobliżu wsi Komorowo w woj. poznańskim odkryto najbogatszy z dotychczas znanych zbiór burzliwych sprzed 2,5 tys. lat. Jak wynika z badań archeologicznych, na wyspie na jeziorze Bityńskim znajdował się wtedy gród na szlaku burzliwym, o około 500 lat starszy od Kalisza, a rówieśnik Biskupina.



Słynna książka Van de Velde „Materniwo doskozale” jest u nas wciąż niedostępna na rynku. Można ją zobaczyć w filmie pod takim samym tytułem.

wywieziony z ZSRR nielegalnie przed 30 laty przez kontrrewolucyjnego generała Kalbarta.

Muzyka

W tym roku festiwal muzyki organowej i kameralnej w Kamieniu Pomorskim wzbogacił się o koncerty urządzone w wiodącym gótyckim pod gołym niebem, w otoczeniu starych drzew, oświetlonych świecami i pochodniami.

Film

Sophia Loren otrzymała wreszcie rolę, o której marzyła od lat. Luciano Visconti przygotował dla telewizji ekranizację (w 8 odcinkach) „Anny Kareniny” przy współpracy kinematografii radzieckiej.

Różne

„Mazowsze” przez 3 tygodnie przebywało we Włoszech. Widownia była stała przepelniona. Zespół został odznaczony Złotym Medalem Ambrojan-kim, najwyższym odznaczeniem Mediolanu.

REŻIM hitlerowski pokazał światu, do jak wielkiego upodlenia może dojść człowiek. Więcej niż upodlenia — do zerwania. Wiemy o tym szczególnie dobrze my, Polacy, którzy staliśmy się pierwszymi masowymi ofiarami tego zerwania.

Od chwili zakończenia tej najstraszliwej w dziejach ludzkości wojny, która zaczęła się właśnie 31 lat temu na naszej ziemi, byliśmy świadkami wielu mniej lub więcej krwawych konfliktów zbrojnych w różnych częściach świata.

Do tego przeraźliwego rejestru doszły ostatnio okropności, dziejące się na wyspie Con Son (Poulo Condore). Wyspa ta leży na Morzu Chifańskim, 223 km na południe od Sajgonu i znajduje się pod władzą marionetkowego rządu południowego Wietnamu.

Te rewelacje wywołały zaniepokojenie także w niektórych kołach amerykańskich. W wyniku tajnego do dnia raportu władz administracyjnych, Izba Reprezentantów wysłała dwuosobową komisję, aby rzetelnie zbadała na miejscu, albowiem nacisk światowej opinii publicznej był tak wielki, iż całej sprawie nie dano się już ukryć, a milczenie Waszyngtonu oznaczałoby, że sankcjonuje on oficjalnie popełniane tam zbrodnie.

Normalnie dostęp do wyspy jest kategorycznie zabroniony. Komisja otrzymała jednak specjalne zezwolenie, charakterystyczne, że od ambasady amerykańskiej w Sajgonie. Członkom komisji pokazano kilka rzeczywiście dobrze urządzonych cel, a nawet więźniów, którzy w warunkach pół-swobody pracowali w ogrodzie warzywnym, a w czasie przerwy uprawiali narty wodne.

W długim, nowym budynku na pierwszy rzut oka nie było oprócz dwóch balustrad biegnących środkiem. Ale już po chwili w betonowej podłodze można było dostrzec prostokątne kraty. Członkowie komisji pochylił się nad nimi, z trudem dostrzegając w ciemności postacie ludzkie.

I tak oto doszliśmy do nowej fazy zbrodni wobec ludzkości. Hitlerowcy sami zamienili się w zwierzęta, które w wieloletniej okupacji walczyły o przetrwanie. W tym celu walczyli, nie o przetrwanie, ale o przetrwanie w warunkach, które były dla nich nie do zniesienia.



Tak wyglądają „tygrysie klatki”

reżimowcy południowowietnamscy traktują innych ludzi jak zwierzęta. W całym więzieniu na wyspie Con Son znajduje się 9916 więźniów, z tego około 300 trzymany jest w owych klatkach tygrysiach.

Członek komisji, Hawkins, po sporządzeniu raportu, opatrzył go takim komentarzem: Con Son jest symbolem zbrodni, popełnianej przez rząd, który nie mógłby się utrzymać przy władzy bez represji i bez ograniczenia praw ludzi, formalnie zastrzeżonych w Konstytucji.

Con Son obciąża nie tylko tzw. rząd południowowietnamski, lecz również rząd amerykański. Nie tylko dlatego, że z uporem podtrzymuje przy władzy sajgoński marionetki. To prawda, że więźnia w południowym Wietnamie podlega formalnie władza sajgońska. Ale jednocześnie 12 specjalnie szkolonych doradców amerykańskich sprawuje nad nimi istotną władzę, do nich należy i pierwsze i ostatnie słowo. Zaledwie przed kilku miesiącami w ramach stałych subwencji marionetki sajgońskiej otrzymała od USA nie mniej ni więcej tylko 442 tysiące dolarów na „modernizację więzień. Czyżby to miało oznaczać, że tygrysi klatki będą jeszcze więcej, że tortury zostaną — jeżeli tak można powiedzieć — zmechanizowane, ulepszone?

Pod naciskiem światowej opinii władze sajgońskie były zmuszone wydać komunikat oficjalny, w którym potwierdziły istnienie tygrysi klatki, jednak zostały one nazwane „celami więziennymi o maksymalnym bezpieczeństwie”. Jeżeli chodzi o kobiety i niepełnoletnich, komunikat stwierdzał: Nie robimy dyskryminacji. Ci, których uważamy za winnych, są karani bez względu na to, czy są mężczyznami czy kobietami.

Jak wielki panuje terror w Wietnamie południowym niech świadczy późniejsza rewelacja prasy zagranicznej, oparte na oficjalnych źródłach sajgońskich. Otóż w tym nieszczęśliwym kraju istnieje 40 więzień — zapewne podobnych do tego w Con Son — w których przebywa 41 tysięcy więźniów politycznych. Ponadto w różnych częściach zbudowano, przy czynnej pomocy wojsk amerykańskich, 38 obozów, w których przebywa nieznamna liczba więźniów tymczasowych. Warto dodać, że przed kilku dniami agencja amerykańska Associated Press doniosła, iż rząd kambodżański Lon Nola zwrócił się do pewnego architekta francuskiego, aby opracował plan „obozu przejściowego”, zlokalizowanego 32 km od Phnom Penh, a który to oboz ma być administrowany przez reżim sajgoński.

Tak oto wygląda wolność i kultura, niesiona na bagnietach wojsk południowowietnamskich, dostarczanych przez imperializm amerykański, nazywający sam siebie obrońcą ludzkości. Obrońcą — przed kim? Obrońcą systemu, który znów dzieli ludzi na dwie kategorie: nadludzi i zwierzęta, które trzeba zamykać w klatkach i poddawać wymyślnym torturom, wiązać łańcuchami, mrozić głodem i dobijać pragnieniem?

I tak oto doszliśmy do nowej fazy zbrodni wobec ludzkości. Hitlerowcy sami zamienili się w zwierzęta,

D 13 lat wydawany jest w Kijowie miesięcznik historyczny „Ukrajński Historyczny Zwiast”. Jest to organ Instytutu Historii Akademii Nauk Ukrainy oraz Instytutu Historii Partii KC Komunistycznej Partii Ukrainy. W czasopiśmie tym umieszczane są niejednokrotnie artykuły i materiały ważne również dla historii Polski.

W numerze tym P. Denysenko umieścił artykuł omawiający wkład narodu ukraińskiego w zwycięstwo nad Niemcami hitlerowskimi. Wiele mówi się o kolosalnym wysiłku całego narodu radzieckiego w okresie długiej i uciążliwej walki z agresorem faszystowskim. Ale rzadko uświadomiamy sobie dokładnie, w jakim stopniu uczestniczyli w tym wysiłku naród ukraiński i Republika Ukraińska, która w porażkowym okresie wojny radziecko-niemieckiej była w całości okupowana przez Niemcy.

czasie około 300 należało do narodowości ukraińskiej. Wymieniane tu są takie postaci, jak K. Worożycyłow, M. Hasiatyj, A. Greczak, A. Jeremienko, A. Krawczenko, D. Leluszanko, P. Malinowski, K. Maskałenko, S. Rudenko, S. Timosenko, I. Czerniakowski, I. Jakubowski i inni.

Na okupowanych terenach Ukrainy od razu zaczęła działać partyzantka. Latem 1942 r. nie było już ani jednego rejonu ukraińskiego, gdzie nie działałyby oddziały partyzanckie, grupy dywersyjne czy podziemne organizacje partyjne i społeczne. Celem lepszego zorganizowania walki podziemnej powstał w maju 1942 r. Ukraiński Setback Ruchu Partyzan-



(dj)

M. L.



Fot. Stefan Kraszewski

# PRACA W GŁĄB

## Rozmowa z Kuratorem Okręgu Szkolnego Lubelskiego, Tadeuszem Kąckim

— Panie Kuratorze, zjawisko odrodzenia się i dynamicznego rozwoju polskiej oświaty jest podziwiane przez zagranicznych ekspertów, o czym nie tak dawno przekonaliśmy się, oglądając i słuchając w naszej telewizji wystąpienia przedstawiciela Komitetu Międzynarodowego Roku Oświaty. Sukcesy Lubelszczyzny — jako ośrodka eksperymentu dydaktycznego w Polsce — są na tym tle równie ewidentne. Myślę więc, że mając w pamięci te zasadnicze osiągnięcia, możemy wstępnie spokojnie pomówić... o kłopotach czy też o kwestiach spornych?

— Oczywiście. Funkcjonujący u nas obecnie system szeroko pojętej oświaty, wielostronnie sprawdzany w toku budownictwa socjalistycznego, jest oparty na tak zdrowych założeniach, że nie musimy się bać otwartej rozmowy o praktycznych trudnościach, powstających w trakcie jego dalszego doskonalenia. Idealny system oświaty zresztą na świecie się jeszcze nie narodził. My w każdym razie musimy martwić się nie o zasady systemu, lecz o kierunki kolejnych przemian pozytywnych, które w tej dziedzinie ciągle zachodzą, zarówno na Lubelszczyźnie, jak i w całym kraju. Idzie więc o przedsięwzięcia permanentnie zmierzające do rozwiązywania kłopotów.

— Rozpoczniemy zatem od kwestii, która w recepcji społecznej, w kręgach zainteresowanych tym rodzajem wywołuje od pewnego czasu sporo kontrowersji. Mianowicie, w związku z niżej demograficznym wylaniem się potrzeba likwidacji niektórych szkół podstawowych w terenie, a w konsekwencji potrzeba korekty rejonów szkolnych. Bywa, że w rezultacie owej korekty zwiększa się odległość od miejsca zamieszkania ucznia do szkoły, co na wsi może być szczególnie uciążliwe. Jak przedstawia się ten problem na Lubelszczyźnie?

— Sprawa faktycznie nastęrcza określone trudności, aczkolwiek istotą jej nie polega na jakimś błędzie czy niedopatrzaniu władz oświatowych. Jest to zagadnienie ogólnopolskie o charakterze obiektywnym. Likwidacja pewnych szkół podstawowych niżej zorganizowanych, o małej liczbie uczniów, które stały i stają się takimi w efekcie spadku fall demograficznego, ma na celu, oczywiście, podniesienie poziomu szkolnictwa podstawowego, a w każdym razie, by tak rzec, intensyfikację sieci tego szkolnictwa. Gdzież można, szkoły niżej zorganizowane likwiduje się i będzie się likwidować, oto bowiem na przykład od 1 września ubiegłego roku liczba dzieci podlegających obowiązkowi szkolnemu spadła na Lubelszczyźnie o 11 457 osób. Ale nasz region posiada swoją specyfikę, choćby geograficzną czy komunikacyjną (duże rozproszenie miejscowości, słaba sieć dróg bitych), co musimy także brać pod uwagę. Lecz po kolei.

Dążymy do tego, by działało jak najwięcej szkół 8-klasowych, których stan na 1 września będzie wynosił 74 proc. wszystkich szkół podstawowych województwa. I to jest sytuacja dobra, jeśli wziąć pod uwagę, że większość tych placówek ma posiadać od 5 do 7 nauczycieli oraz odpowiednio dużą liczbę uczniów. Dzieje się to głównie kosztem niektórych szkół uczących na poziomie I—IV klasy, a posiadających od 1 do 3 nauczycieli. Co więcej jednak — jeśli intensyfikacja sieci szkolnictwa jest w dużym stopniu sprawą nowych nakładów inwestycyjnych na nowoczesne placówki, to spadek demograficzny dodatkowo stwarza dla owej intensyfikacji kategoryczną, a zarazem dogodną sposobność, bo pozwala poruszać się naprzód w obrębie istniejących już możliwości.

Wszelko sama likwidacja szkół niżej zorganizowanych wykazuje na Lubelszczyźnie tendencję malejącą — w ubiegłym roku zamknęliśmy 22 szkoły, w tym roku tylko 15. Najprościej mówiąc — przy likwidacji zazwyczaj przyjmuje się zasadę, by w obrębie planowanej korekty rejonu szkolnego odległość od miejsca zamieszkania ucznia do szkoły nie przekroczyła ustawowych 3 km drogi pieszej, jeśli brak dogodnych środków dojazdu. To zresztą uzależnione jest też od sezonowego stanu dróg. Ponadto w związku ze wspomnianą zasadą trzeba było pozostawić wiele placówek z jednym nauczycielem, kierując się kardynalnym założeniem powszechności nauczania. W nadchodzącym roku zamknąć będzie jeszcze 461 takich szkół, nauczających na poziomie I—IV klasy (w tym 76 szkół z liczbą od 10 do 15 uczniów, 305 — od 16 do 30 uczniów, oraz 80 — ponad 30 uczniów). Była to konieczność w sytuacji, gdy miejscowości leżały od siebie daleko, zaś stan dróg, możliwości dowożenia lub dojeżdżania dzieci nie wydawały się zadowalające. Pozostawienie szkoły w takiej sytuacji jest regułą. Może dlatego notuje się na Lubelszczyźnie spadek liczby dzieci nie uczęszczających do szkoły bez uzasadnionych przyczyn (w roku 68/69 — 0,19 proc., 69/70 — 0,12 proc.).

Decyzje co do likwidacji, komasacji bądź pozostawienia szkół opierają się na konkretnym rozpoznaniu terenu, które dociera do nas od prezydów GRN poprzez prezydów PRN. Nie wszystkie zresztą wnioski o likwidację zyskują aprobatę Kuratorium. Sprawa bowiem nie polega na jednostkowych poczynaniach, lecz na szerokiej planowej akcji. W związku z tym 7 września odbędzie się w Lublinie narada Kuratorium z inspektorami szkolnymi, przedstawicielami WKPG, WRN, reprezentantami PKS i Zjednoczenia PGR na temat korelacji sieci szkół podstawowych z możliwościami dowo-

żenia uczniów w latach 1971—75. Naradzie przysłuchiwać się będzie kilku kuratorów z innych okręgów. Chodzi o to, by zapewnić dzieciom optymalne warunki nauki, choćby kosztem przejściowych trudności.

— A więc bez rezygnacji z zasady powszechności nauczania równocześnie kładzie się nacisk na procesy i efekty jakościowe?

— Jak najbardziej, wchodzimy bowiem w okres intensyfikacji nauczania i wychowania, pracy w głąb na wszystkich odcinkach, co zresztą wiąże się z wdrażaniem eksperymentu do szerokiej praktyki szkolnej.

— Co zatem robi się, by usunąć przyczyny zjawiska „urodzonych w niedzielę”, powody drugorzędności, odpadu i odswiewu? Bo wiadomo, że wina nie zawsze tu leży

po stronie rodziców, czasem po stronie szkoły, jak o tym świadczą przypadki tzw. nerwicy szkolnej.

— Jest to bardzo złożony kompleks zagadnień, które w rozmaitym stopniu są i mogą być aktualnie rozwiązywane i na których temat można by odbyć całkiem odrębną rozmowę. Toteż pokrótce tylko. Jedną z przyczyn niepowodzeń szkolnych może być sytuacja, gdy dziecko jakoś uopóźnione uczęszcza do normalnej szkoły. Kuratorium od dłuższego czasu kładzie nacisk na rozwój szkolnictwa specjalnego. Problem dzieci głuchych, niedowidzących i niewidomych jest rozwiązany poprzez istnienie odpowiednich zakładów w naszym okręgu lub współpracę z zakładami w innych okręgach. Otwarty pozostaje problem dzieci upośledzonych umysłowo. Zasadniczo w każdym powiecie powinna znajdować się szkoła specjalna z internatem dla tych uczniów. Na razie posiadamy w województwie osiem takich szkół, lecz organizuje się już dwie następne (we Włodawie i Hrubieszowie). Także w szkołach normalnych zakłada się klasy specjalne — przeszkodą bywa fałszywy wstyd rodziców, którzy niechętnie umieszczają dziecko w takiej klasie. Tak czy inaczej wszystko to stanowi ważny, ale tylko margines kwestii niepowodzeń szkolnych.

Większe znaczenie istotnie mają tutaj błędy popełniane czasem w praktyce dydaktycznej przez nauczycieli — wobec dzieci normalnych. Przeciążanie pracą domową, serie lekcji powtórzeniowych, traktowanie przez nauczyciela własnego przedmiotu jako najważniejszego z ważnych, brak troski o dwójkowców. Z tym wszystkim walczymy, w pierwszym rzędzie zaś staramy się egzekwować zasadę, iż uczeń dwójkowy musi natychmiast zostać otoczony opieką, egzekwujemy zatem funkcje opiekunów szkół — organizowanie świetlic, półświeclic etc. Szkoły na tym odcinku kontrolować nam najłatwiej. Często sprawdziany wyników nauczania, testy, wizytacje są tu w zasadzie wystarczające. Lecz bez włączenia czynników pozaszkolnych — rodziny, organizacji społecznych — bez uruchomienia całego systemu bodźców ambijonalnych nie za wiele da się zrobić.

O tych ostatnich kwestiach chciałbym jeszcze parę słów dopowiedzieć. Od 1 września powstaje w Ośrodku Metodycznym sekcja do spraw współpracy szkoły ze środowiskiem, planujemy długoterminową akcję zebrań z rodzicami dzieci trudnych. W zeszłym roku szkolnym Kuratorium wraz z Zarządzeniem Wojewódzkim ZMS zorganizowało I Wojewódzki Zlot Przedowników w Nauce i Pracy Społecznej w Lublinie. Jest to bodaj pierwsza tego rodzaju inicjatywa w Polsce. Do rodziców dzieci — przedowników, a także do zakładów, gdzie pracują owi rodzice, zostały wysłane dyplomy gratulacyjne, zawiadamiające o sukcesach uczniów! Ma to wielostronne znaczenie pobudzenia ambicji. Zlot dotyczył szkół średnich, obecnie zamierzamy zastosować zalecenie Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, mówiące, że do szkół średniej można przyjmować uczniów płatkowych bez egzaminu. Możliwość popełnienia tutaj błędów dydaktycznych zmaleje, gdy kierownicy i dyrektorzy szkół od początku roku będą pamiętać o tym zamierzeniu Kuratorium, odpowiedzialnie kontrolując rzetelność wystawianych w ich szkołach ocen oraz pro-

wadząc akcje propagandową wśród uczniów i nauczycieli. Na koniec wreszcie będziemy pilnować przestrzegania tegorocznego zarządzenia Ministerstwa, by uczeń mógł należeć najwyżej do dwóch organizacji młodzieżowych jednocześnie, co ma zapobiec biernym w gruncie rzeczy postawom niektórych uczniów na terenie szkoły.

Wszystko to, oczywiście, zmierza nie tylko do likwidacji zjawiska niepowodzeń szkolnych, lecz przede wszystkim do podnoszenia poziomu wykształcenia i wyrobienia społecznego uczniów. Znowu sprawy jakościowe na pierwszym planie.

— A „urodzonych w niedzielę”, czyli młodzień nie ucząca się i nie pracująca?

— Ten problem, całkiem zresztą odrębny, zaczęliśmy już likwidować w zeszłym roku i obecnie przestaje on praktycznie istnieć, przynajmniej na najbardziej zagrożonych terenach województwa, a więc w większych miastach. Na wniosek Kuratorium Prezydium WRN podjęło 8 lipca 1969 roku uchwałę o obowiązku kształcenia zawodowego młodzieży w wieku od ukończenia 15 lat do ukończenia 18 lat, która nie uczy się i nie pracuje. Uchwała objęła: Lublin, Białą Podlaską, Biłgoraj, Chełm Lubelski, Hrubieszów, Puławę i Zamość. Idzie o kształcenie (przynajmniej) na podbudowie 6 klas szkoły podstawowej w rozmaitym typie zasadniczych szkółach zawodowych. Jak dotąd, sprawa rozwija się pomyślnie. A chodziło przecież o szybkie zneutralizowanie niebezpieczeństwa wykołajenia się sporej grupy młodzieży. Oczywiście, od sprawy intensyfikacji procesu nauczania i wychowania kwestia ta nieco odbiega, choć nie tak znowu zupełnie.

— Skoro problemy jakościowe nieustannie wracają podczas naszej rozmowy, to trudno nie spytać o dokończanie się i podnoszenie kwalifikacji przez kadrę nauczycielską.

— Najciężej było tu w szkolnictwie podstawowym, toteż do tej dziedziny chcę głównie ograniczyć odpowiedź. Obecnie 66,2 proc. nauczycieli szkół podstawowych posiada dodatkowe kwalifikacje, co już nas stawia na zupełnie przyzwoitej pozycji w kraju. Od roku działa w Lublinie ośrodek renowacji wiedzy nauczycieli (także szkół średnich) — w dawnym liceum im. Konopnickiej — wyposażony ostatnio w piękne pracownie przedmiotowe. Na Podgrodziu zaadaptowaliśmy pomieszczenia na 80-osobowy internat. W ten sposób powstały warunki wakacyjnego i śródrocznego doszkalania kadry nauczycielskiej.

Skoro idzie nam o głębokie wdrożenie lubelskiego eksperymentu dydaktycznego w całym województwie, trzeba było zacząć od szkolnictwa podstawowego. I tu kolejne novum w skali kraju. Od 1 września 209 szkół będzie działać jako tzw. szkoły bazowe eksperymentu, każda mając pod opieką kilka szkół towarzyszących. Szkoleniem zostanie objęty w pierwszym rzędzie personel dydaktyczny szkół bazowych, które będą znajdować się we wszystkich powiatach. W zakresie wdrażania eksperymentu już przeszkoliliśmy ponad 250 osób, na razie przede wszystkim inspektorów i podinspektorów szkolnych oraz pracowników merytorycznych Kuratorium i Ośrodka Metodycznego. W perspektywie dalsze rozszerzenie tej inicjatywy. Nie zapominaamy też o „zwykłej” renowacji wiedzy nauczycieli — przy pomocy ośrodka.

Oczywiście, zarówno wymienione ostatnio przedsięwzięcia i dokonania, jak i rozstrzygnięcie problemów, które się przewijały w trakcie naszej rozmowy, a także tych, o których nie mówiliśmy (np. adekwatne towarzyszenie sieci szkolnictwa zawodowego potrzebom i perspektywom gospodarki województwa), nie byłoby możliwe bez nakładów finansowych. Oto bowiem w bieżącym roku szkolnym przekazaliśmy 16 mln zł na politechnizację, 20 mln zł na pomoce szkolne oraz 15 mln zł wyłącznie dla szkół bazowych.

— W ten sposób padła odpowiedź na ostatnie z pytań, jakie miało być postawione w trakcie tej rozmowy. Skoro zatem istnieje baza finansowa, skoro jednocześnie w sposób szeroki i pomysłowy usuwane bywają trudności w procesie intensyfikacji naszego szkolnictwa, można się spodziewać, że już niedługo dadzą o sobie znać doniosłe rezultaty owych prac?

— Być może. Nie należy jednak zapominać, iż wszelką działalność społeczną, a taką przecież w najszerszym sensie jest wychowywanie i nauczanie młodego pokolenia, oblicza się na dalszy dystans oraz że czasem niesie ona w sobie element nie zawsze możliwy do całkowitego przewidzenia. Idzie mi, oczywiście, nie o jakieś ewentualne rezultaty negatywne naszych wysiłków, ale o potrzebę ciągłej baczonej uwagi, nieustannego rozpoznawania procesów, jakie zachodzą w masach naszego społeczeństwa. Szkoła bowiem nie tylko musi owym procesom towarzyszyć, ona je powinna w ramach swoich możliwości kształtować. Wtedy będziemy mogli w pełni kontrolować skutki własnych poczynąń. I o taką szkołę w końcu nam chodzi.

Rozmawiał: Maciej Podgóski



Fot. Janusz Mendychowski

# Ściegieńczycy

Stefan Wolski

O D strony wozów szedł ku nim nieduży chłopina. O wiele za obszerną na niego sukmanę podciągnął na wysokości brzucha i podpasął sznurkiem. Na głowie miał czapkę ze skórek zajęczych. Żółtawe kosmyki włosów zwisały mu beładnie i smętnie z grubej górnej wargi. Szedł z opuszczoną głową, przytrzymując oburącz sukmanę na piersiach.

— Oto Bartek — rzekł Dziadek, wskazując chłopinę.

Kosa nie odpowiedział, tylko bacznie spoglądał na zbliżającą się postać. Bartek podszedł bliżej i przystanął. Po chwili podniósł głowę i bystre jego oczy prześliznęły się po ogromnej postaci wysłannika.

— To wy, Kosa? — zapytał cichym, chrypliwym i jakby zgazonym głosem. — To wy przejechaliście z tą wieścią?

Tamten skinął głową. — Dobrodziej pojmany, zdrada była... Kazał wracać wszystkim do domu, ratować, co się da... W polu. Bo z tego też będą żniwa, kiedy czas nadejdzie, a z tych żniw chleb będziemy jedli — powiedział ponuro, jakby lekce na pamięć wycyzoną.

— Słyszałem o was od dobrodzieja. Dłatego wierzę wam.

Kosa zymnął się, ale nic nie powiedział.

— Co tam masz za pazuchą, Bartek? — zapytał Dziadek.

— Listonosza — zachrypił chłopina. — Przecież po to mnie wzywacie. — Wsadził rękę w faldy sukmany, a kiedy ją wyjął, miał w garści ptaka, czarnego prawie w swoim ciemnofioletowym i granatowym upierzeniu.

— Gołąb! — wykrzyknął Kosa.

Bartek podrapał ptaka pod dziobem i w okolicy gardzieli. Ptak zamrugał szybko okrągłymi, bystrymi oczkami, otoczonymi czerwona obwódka.

— To bardzo dobry listonosz — powiedział chłopina.

— A dlaczego wybrałeś tego, a nie z tych białych? — zapytał Dziadek.

— Tamte są dla dobrych wieści — mruknął Bartek. — Ten jest teraz najlepszy, zle wieści powinny być szybko przekazane, komu trzeba.

— Dokąd on umie polecieć?

— Do mojego domu. Resztę zrobi moja żona.

— No to wyslijmy go.

Bartek patrzył na Dziadka pociętnie. — A z czym? — zapytał. — Trzeba mu dać list.

— Jakiż my jemu damy list, kiedy tu nikt pisać nie potrafi? — Powiódł zatroskanym wejrzeniem po postaciach chłopów, szycujących konie do dalszej drogi, choć jakoś w międzyczasie każdy z nich znalazł chwilę, żeby powymyślać zwierzętom wędzidła z pysków i przystawić worki z żarciem.

— Ty umiesz pisać? — Dziadek spojrzął na Kosa, ale ten potrząsnął głową.

Bartek stał w milczeniu i górna warga drgała mu śmieśnie wraz z lichymi kosmykami włosów. Dziadek opuścił głowę i zamyślił się, lecz wnet ją podniósł do góry.

— Ale! — wykrzyknął radośnie. — Jest sposób! Mamy tu przecie książeczki święte z obrazkami. Nikt tam ich nie czyta na mszy, ale obrazki każdemu znajome.

Patrzyli, ciągle nie rozumiejąc.

— No więc wytniemy obrazek, na którym jest przedstawione poimanie Pana Jezusa, i ten drugi, na którym Judasz dostaje srebrniki. To pošlemy.

— Prawdziwy z ciebie dowódca — z uznaniem kiwnął głową Kosa — A macie te książeczki?

Dziadek za całą odpowiedź porwał się na równe nogi i zakrzyknął w stronę wozów:

— Dawajcie tu Dominika, a żywo!

Wkrótce biegł ku nim wysoki chłop, tym wyższy na oko, że miał długie, bociące nogi.

— On nie tylko ma te książeczki, ale nawet wie, gdzie co jest napisane, mimo że tak samo jak i my nie umie wcale czytać — objaśniał Dziadek Kose.

Chłop zbliżył się i wyczekująco stanął.

— Dominiku — zaczął z namaszczaniem Dziadek — masz możność ty osobiście przyczynić się do ocalenia bardzo wielu naszych.

Twarz chłopca przybrała wyraz zdziwienia i zaskoczenia. Bardzo błękitne oczy wlepił w Dziadka i nic nie mówił, a ten ciągnął tym samym pełnym namaszczania głosem:

— Musisz ofiarować nam dwie kartki z twojej świętej książeczki, te z obrazkami. Na jednej ma być Judasz, a na drugiej poimanie Jezusa Chrystusa.

Chłop rozłożył ręce z wyrazem coraz większego zdumienia, ale ciągle milczał.

— Wiemy wszyscy, jak wielką świętością jest dla ciebie ta książeczka — mówił Dziadek. — Ale jak ci wytłumaczę, o co chodzi, sam będziesz chciał uczynić tę ofiarę.

— No to gadaj — powiedział Dominik i szarpnął energicznie brodę, a w jego basowym głosie zabrzmiała nuta niedowierzania. Dziadek powoli wszystko tłumaczył i z niepokojem obserwował reakcję chudego chłopca. Ten uśmiechnął się szeroko.

— Przydam się wam jeszcze na coś — rzekł prawie wesoło. — Umieję narysować nazwisko komendanta.

— Umiesz? — zdziwił się Dziadek.

— A umię. Bystry mi kiedyś napisał i od tej pory ćwiczyłem tak długo, aż umiałem je narysować z zamkniętymi oczami, nazwisko naszego Ściegieńczonego. — Tu w oczach Dominika nagle pokazały się łzy. Starł je szybko czarną brudną łapą.

— Zaraz przyniosę... — powiedział chrypliwie i szybko odszedł w stronę swojego wozu, który był gdzieś aż na końcu kolumny. Dziadek patrzył za nim. Spojrzył też uważnie na chłopów, jednych już usadowionych na wozach, innych stojących obok, a jeszcze innych skupionych w małe grupki, pochylonych ku sobie i nad czymś żywo debatujących. Westchnął ciężko. Nie odwracając głowy, rzucił do Kosy:

— Słuchaj, jak ty myślisz, będą się ich czeplić?

Kosa zbliżył się do Dziadka i usiadł koło niego na ziemi.

— Kto? Panowie? — zapytał głucho.

Dziadek skinął głową.

— Czeplić się będą, ani chybi. I niejeden trafi w łapy żandarmów — powiedział Kosa.

— To zależeć będzie od każdego pana z osobna — wtrącił się Bartek, który także przykucał nieopodal, troskliwie przytrzymując rękami polę swojej sukmany, gdzie za pazuchą ulokował gołębia. — Niejeden będzie się bał i nie powie. Może później odegra się, ale na razie nie nie zrobi. Inni ukarzą sami: pobiją tak, że nie daj Boże. Ale będą i tacy, którzy oddadzą ruskim...

— Jak to od nich odwrócić? — szepnął Dziadek.

— Na razie niech prędko jadą do domu — mruknął Kosa. — Może niejeden z panów w

ogóle nie zorientuje się, że chłopca nie było w robocie. Słyszalem, że wielu ekonomów od jakiegoś czasu bardzo zmiękło — zażmiał się ponuro. — Zwłaszcza jak zaczęli znikać, tak że żadnego z nich do dnia dzisiejszego jeszcze nie odnaleziono — pomilczał chwilę i skończył — i chyba nikt nie odnajdzie. — Potem znów zachichotał.

Bartek nerwowo ściągnął na piersiach sukmanę. — O tym wcale nie trzeba gadać — pisał cicho.

— W ogóle każdy musi trzymać język za zębami i udawać, że nic nie wie — dodał Dziadek.

— Musisz im to wyłożyć dokumentnie — zwrócił się Kosa do Dziadka.

— Powiem im, jak zrobimy zbiórki w borach opatowskich. Teraz trzeba jak najszybciej i jak najdalej odsunąć się od Kielec.

Kosa kiwnął głową.

— Wysłalesz kogo na boki, żeby patrzył, czy kto nie jedzie? — zapytał nagle Bartek.

Dziadek spojrzął na niego i uśmiechnął się życzliwie. — Patrzenie — powiedział. — Wygląda, jakby do trzech nie umiał zliczyć, a wie, czego pilnować w tej robocie. — Nie bój się. Każdy wie, czego ma się pilnować. Wojtek i Janek pojechali na swoje stanowiska, a z tyłu i z tamtego boku — wskazał ręką na północ — wysłali swoich dowódcy sekcji.

Ostrożnie oczy daszkami ręki, patrząc w kierunku wschodnim.

— O! — powiedział. — Tam, jak ten zagajnik na wzgórze, widzisz chłopca na koniu?

Bartek i Kosa popatrzyli w tamtą stronę.

— A widać — powiedział Bartek.

— No, to jest Ludwik. Nie bójcie się, dobrze pilnują, nikt nas nie zaskoczy. Słuchajcie — zatroskał się nagle — a czym Dominik narysuje nazwisko komendanta?

Zamyślił się, a po chwili Bartek wyciągnął gdzieś z fald swojej za wielkiej sukmany kózki, wyciął nim gałązkę i zaczął ją strugać.

Od wozów nachodził Dominik na swoich bociących nogach. Niósł pieczolowicie książkę, zawiniętą w czystą, linianą chustkę.

— Nareszcie idzie — mruknął Dziadek, podnosząc się z ziemi. Wstali i po chwili Dominik na siedzeniu wozu Dziadka troskliwie rozwijał swoje cenne zawiniątko. Ukazała się książka oprawna w skórę ciemnobrązową z wytłoczonym pośrodku wielkim krzyżem. Dominik podniósł ją do ust i pobożnie ucałował. Później z nabożeństwem otworzył ją i pośliniwszy palec, zaczął odwracać kartki, aż nareszcie zatrzymał się i popatrzył na towarzyszy. Ci nachylił się niżej i odetchnął głęboko. Tak, to był obrazek przedstawiający Judasz, jak bierze srebrniki za wydanie Jezusa.

Dominik delikatnie wydarł obrazek i podał z namaszczaniem Dziadkowi. Następnie znów zaczął wertować książeczki. I znów paluchy chłopca troskliwie zaczęły wydierać drugi obrazek. W tym momencie Bartek przysunął się do niego.

— Jak chcecie rysować? — zapytał.

Dominik zafrasował się ogromnie.

— No przecie... — wymamrotał — macie zaś co do rysowania? — zwrócił się nieomal ze złością do stojących wokół chłopów.

— Mamy, mamy — prędko wpadł mu w słowa Bartek. — Ino przedtem pokaż palcem na obrazku, w jaki sposób będziesz rysował, żeby to się udało.

— Mądry Bartek — mruknął z uznaniem Kosa.

Cała czwórka nachyliła się nad obrazkiem przedstawiającym Jezusa w rękach świątelników. Dominik od głowy Jezusa uczynił palcem znak ku marginesowi w postaci linii prostej. Przytrzymał się na marginesie i pociągnął palcem poziomo w prawo.

— O, tu narysuję nazwisko, a tam od głowy będzie kreska do tego nazwiska. Każdy zgadnie, o co chodzi. No, to dawaj — zwrócił się do Bartka, a ten bez słowa zbliżył się do wozu, położył rękę na płachcie, którą okryte było siedzenie ze stopy, i odwrócił głową do góry, a drugą ręką pośrodku zrobił nacięcie szczyrkami na opuszczonego z paleców. Pokazała się krew. Bez jednego słowa podał Dominikowi cienko zastruganą gałązkę. Ten również bez słowa wziął ją w palec, umazał we krwi Bartka i poprowadził nieco drżącą linię od głowy Jezusa do marginesu. Zatrzymał się i odetchnął. Poprawił się znów w pozycji przy wozie, tak żeby miał jak najwygodniej. Bartek dwoma palcami prawej ręki ściskał opuszkę z rąką. Pokazała się więcej krwi.

— No, rysuj — powiedział do Dominika i nikt nie zwrócił uwagi, że w głosie jego zabrzmiała nuta dumy.

Dominik nachylił się nad kartką i zaczął rysować pierwszą literę. Ale mu nie szło. Pod spodem było za miękkie. Dziadek pokazał książkę.

— Otwórz ją i podłóż. Będzie lepiej rysować.

Chłop w milczeniu rozwinał ponownie swoje zawiniątko i otworzył. Potem wyrwaną kartkę umieścił na jednej ze stron. Umoczył znów gałązkę we krwi Bartkowej, pociągnął parę razy nosem i na nowo zaczął rysować. Tym razem szło znacznie lepiej. Wolniutko, litera po literze, narysował całe nazwisko. Literki były koślawe, jedna od drugiej czasami odsłaniała niepokojące w bok, a wszystkie były wyprowadzone linijkami krętymi jak nierówne brzozy strumyka. Tu i tam były cieńsze, gdzieś tam krwawa kreska grubiała, zwłaszcza tam, gdzie trzeba było uczynić w rysunku zakręt. Och, ciężka to była praca i Dominik kiedy ją skończył, zerwał z głowy czapkę i lokciem otarł czoło obficie zroszone potem. Wszyscy głęboko odetchnęli i z wielką ulgą patrzyli na dzieło.

— Teraz trzeba zrobić list — powiedział Bartek.

Spojrzeli na niego wyczekująco. I wcale się nie zdziwili, że ma za pazuchą kawał papieru. Wyciągnął go i prostował spokojnie na siedzeniu wozu. Nie odrywając się od tej pracy, powiedział do Kosy:

— Skocz, Kosa, do lasu i przynieś trochę żywy. Trzeba będzie to dobrze zakleić.

Wielokol bez słowa pobiegł do lasu, skąd po kilku minutach przyniósł na liściu babki sporo żywy. List — paczuszka był już gotowy i pozostawało tylko dobrze go skleić. Uczynił to Bartek starannie i tak solidnie, że nie było mowy o tym, żeby pakunek otworzył się bez pomocy rąk ludzkich. Teraz Bartek wyjął gołębia i mocną tasiemką przymocował paczuszkę na jego piersi. Pomacał jeszcze jego wole. Było pełne ziarna.

— Może lecieć — szepnął. Potem zdjął czapkę, co też uczynili stojący koło niego chłopci, a za chwilę, kiedy Bartek podniósł do góry obie ręce, w których trzymał gołębia, cały tłum, który od wozów obserwował ich bacznie, zakochał się. Wszyscy tak samo zdjęli czapki. Wiedzieli, o co chodzi, i wiedzieli, jak cenny i święty ładunek niesie ptak. A Bartek z zamachem wyrzucił go w górę.

— Za dwie, trzy godziny będzie w domu — mruknął Bartek. Wszyscy śledzili ptaka tak długo aż zrobił się malutki niczym ciemny punkcik na niebie i wreszcie zniknął w oddali. Dopiero wtedy opuścili głowy i popatrzyli po sobie.

— No, czas ruszać w drogę — zakrzyknął Dziadek i chłopci zaczęli zajmować miejsca w wozach.

Kolumna ruszyła i wkrótce wozy wyciągnęły się wężowato na podłej drodze.

(Fragment II tomu „Ballady chłopskiej”)

Anna Markowa

## Patrzeć

Jednak patrzę  
W słońce male twarde i raniące  
Pomniejszone o odbicia w szybach  
O tę swoją zamkniętą okrągłość

Pomniejszone o odbicia w szybach  
Z których żadna nie ginie gwałtownie  
Zbrązowiła od żaru i szorstka  
Zamieniona w ostry pył pod nogą  
Wibrująca w ziemi naznaczonej  
Ciemnym piętnem stalowych gąsienic

Jaki kolor ma trawa w tych miejscach  
Gdzie spoczęli ci którym nie dano  
Dożyć czasu na ręk ogrzewanie  
I na oczu wpatwienie do końca  
Do wybuchu palącej białości

Buty z drewna buty z pnia wyrosłe  
Dla dwu nóg jak gałęzie uschnięte  
Dla apeli dla ciszy przed świtem  
Dla tych godzin kiedy horyzont  
W luk się wygiął i stracił na zawsze  
Całą swoją dostojną statyczność

Podającym na ziemię tak właśnie  
W luk wygięty horyzont się zmienia

Potem widzą las drzew obumartych  
Zamienionych w nieruchome buty

Niech już tak pozostanie — horyzont  
Który wygiął się nagle i stracił  
Całą swoją dostojną statyczność  
Bądź spokojny — to tylko dłatego  
Ze przez chwilę patrzyło się w słońce



Rys. E. Szalecki

José-Maria de Heredia

## Wizja Khem

I

POŁUDNIE. Słońce płonie, w świetle  
rozszalałym  
Stara rzeka słabo toczy fale z otowiu,  
Z zenitu, oślepiając, dzień spada pionowo,  
I bezlitosny Phre pokrywa Egipt cały.

Sfinksy, które nigdy powiek nie zwały  
ospałych,  
Leżą, długie boki w jasnym piasku kąpiąc,  
I śledzą spojrzeniem tajemniczym,

Niezmierny porwy iglic skamieniałych,

Białe, pogodne niebo plamiąc czarnym  
punktem,  
W oddali bezustannie ortosepy się kręcąc;  
Olbrymi płomień usypia ludzi i zwierzęta.

Grunt rozpalony skrzy się, a spiżowy  
Anubis,  
W środku tej ciepłej radości — nieruchomy,  
Szczeka i cichuteńko na stronę słońca skomli.

II

KSIEZYC błyszczy nad Nilem wspaniały  
i okrąpy.  
I oto porusza się nekropolis antyczne,  
Gdzie każdy król w pozie hieratycznej  
Spoczywa w opaskach pod pokrywą  
żałobną.

Jak za dni Ramzesów cały naród, tworząc  
Orszak niezliczony, bezszelestny, mistyczny,  
Tłumem, który pochłania miraż z granitu,  
Ustawia się, rozwija i idzie w głąb nocy

Odrzuwając się od murów zdobionych  
hieroglifami,  
Postępują za Bari, którą niosą kapłani  
Amona-Re, wielkiego Boga — małżonka  
Bogini Mut;

A sfinksy i barany w dyskach z purpury,  
Oślepione, jednym ruchem stając na  
pazurach,  
W podskoku budzą się z wieczystego snu.

III

I tłum rośnie, coraz większy, niezmierny.  
Ciemne hypogeum, sarkofagi granitowe,  
Są puste. Porzucając opróżniony grobowiec,  
Święte krogulce wzbijają się pod niebo.

Zwierzęta, ludy, królowie ida. Złoty ureusz  
Wije się, błyszcząc ponad dzikim czołem,  
Ale chude twarze gęsta zlepa smola.  
Na czele Horus, Ptah, Khnum, Neith, Benna.

Później ci, których prowadzi Toth  
Ibisogłowy,  
W schenti, w obu Egiptów koronach,  
W niebieskim lotosie. Przepych błędzący,  
zwycięski

Faluje pośród grozy zrujnowanych świątyni;  
Sypiąc światło na bruk chłodnych sal,  
księżyce  
Dzionie wydłuża wielkie cienie prostokątne.

Tłumaczyła: Maria Szczepowska

# Wierny Rzeczy- pospolitej do końca

Dokończenie ze str. 1

W 1595 r. towarzyszył hetman polny Zamoyskiemu w wyprawie moldawskiej i pomagał w utwierdzeniu na tronie hospodara Jeremiego Mohły. W 1596 r. był pacyfikatorem powstania kozackiego Nalewajki. Kierując działaniami wojennymi przeciw powstańcom, nie wykazywał Zółkiewski zawziętości i okrucieństwa, tak charakterystycznego dla późniejszych polskich dowódców walczących z Kozakami. Mając zdecydowaną przewagę, przesądającą o powodzeniu militarnym, Zółkiewski tak wócił sprawę, aby rezultat osiągnąć kosztem stosunkowo najmniejszego rozlewu krwi. W 1600 r. towarzyszył Zółkiewski Zamoyskiemu w wyprawie wołoskiej, a następnie brał udział w wojnie szwedzkiej i pokonał Szwedów pod Rewlem w 1602 r.

W czerwcu 1605 r. zmarł kanclerz i hetman wielki koronny Jan Zamoyski, a stronnictwo jego, przywódcą silne i posiadające wielu swych przedstawicieli w senacie, rozpadło się. Z dawnych „zamoyszczyków” pozostało w senacie niewiele: hetman polny Zółkiewski, wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski i kilku pomniejszych. Reszta, jak np. teść Zamoyskiego kasztelan sandomierski Stanisław Tarnowski czy biskup kujawski Tyliccki, przeszła do obozu królewskiego. Otoczenie królewskie składało się teraz z ludzi nowych, od dawnych królów bez reszty, jak marszałek koronny Zygmunta Myszkowski, biskup łucki Marcin Szyszkowski, wojewoda poznański Hieronim Gostomski oraz wielu innych.

Zółkiewski, mimo iż przez wiele lat należał do opozycji, bardzo wysoko cenił i szanował godność królewską. W swym testamentie, pisany w styczniu 1606 r., w okresie stale odczuwanej przez niego niechęci królewskiej, zalecał synowi: *Z tymi się nigdy nie łącz, jeżeliby kto chciał do odmian rzeczy przywołać, i owszem, przy królu panu swym wedle możności się zastawiaj. Takowe odmiany panów, daleko nie chodząc, węgierską ziemię i wołoską do zniszczenia i do upadku przywołały; i u nas najciężej by to raz poczęć, nie byłoby temu końca... Choćby też i niedostatki jakie w panu, lepiej jest do jedności, niżli na odmianę, która jest szkodliwa i bardzo nieprzebieczna.*

Zgodnie z tymi zasadami, Zółkiewski w czasie rokoszki stanął przy monarchii i pokonał rokoszanie pod Guzowem w 1607 r. Po zwycięstwie pośredniczył w ugodzie z rokoszaniem.

Nie pochwałal afery z Dymitrem Samozwanem, ścisły — był jej zdecydowanym przeciwnikiem. Na rozkaz króla wziął jednak udział w wojnie z Moskwą. Wojna ta przyniosła mu rozgłos i sławę, uczyniła jego nazwisko głośnym nie tylko w kraju ale i w Europie, pozwoliła odbyć na sejmie warszawskim 1611 r. triumf, jedyny w dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej, odprawiony w sposób najdoskonalszy dla szlachy polskiej, bo klasycznie-rymicki: przekazanie królowi otoczonemu grotem wysokich dygnitarzy państwowego byłego cara moskiewskiego Wasyla Szuskiego wraz z dwoma braćmi, po zajęciu i osadzeniu polską załogą stolicy państwa rosyjskiego.

Wywołany przez Zygmunta III na czele szczyptych sił przeciw silnej armii pod dowództwem brata carskiego Dymitra Szuskiego, rozbił ją 4 lipca 1610 r. w bitwie pod Kluzynem, a następnie wszedłszy w porozumienie z bojarami moskiewskimi wkroczył do Moskwy. Zawarł z nimi układ, który — gwarantując całość i integralność państwa rosyjskiego oraz wszystkie prawa i swobody cerkwi prawosławnej — przewidywał powołanie na tron carski syna Zygmunta III, króla Władysława. Kiedy król nie zaakceptował polityki Zółkiewskiego, hetman polny odsunął się zupełnie od spraw moskiewskich. *U Moskwy kredytu nie mam — pisał — i nie nie uczyniono, com ja obiecywałem. Jeśli co uczyniono, to nie tak, jakby sama Moskwa potrzebowała. Jawnie zaborcze dążenia Zygmunta III i jego otoczenia zniweczyły plany unii. Fakt, że król i jego najbliżsi doradcy wtarlić pań-*

stwo w kosztowną i nieopłacalną awanturę wojenną, nie umiając na dodatek się z niej wyplątać — ilustruje też, iż w obozie polskim poza unijną koncepcją Zółkiewskiego, brak było zdrowej myśli politycznej.

Po powrocie z Moskwy hetman, mając po raz pierwszy trochę czasu, zajął się spisywaniem swych wspomnień. Powstał: „Początek i progres wojny moskiewskiej”, jedno z najwybitniejszych dzieł pamiętnikarskich XVII wieku.

Niedługo cieszył się Zółkiewski domowym spokojem. Obowiązek wezwał go do obrony granicy południowo-wschodniej, zagrożonej przez Tatarów i Turcję. Zajmował się też uspokojeniem konfederacji wołoskich, zawiązanych przez nie oplaconych żołnierzy.

Zółkiewski był przeciwnikiem wszczynania awanturniczych wypraw magnaterii polskiej do Moldawii czy Wołoszczyzny, nie chcąc wciągnąć kraju w konflikt z Turcją. Konflikt ten zaostroił się jednak wakat niekierunkowej kozackiej i prohabsburskiej polityki Zygmunta III oraz części magnaterii. Jedynie chwilowo zażegnały niebezpieczeństwo układy pod Buszą w 1617 r.

Zółkiewski — w przeciwieństwie do wielu ludzi tego okresu — był człowiekiem uczciwym, prawym, nieprzekupnym, w służbie publicznej cechowała go bezinteresowność. Pisał do syna w testamencie: *Nie zostawiam ci włości i majątności wielkich, choć z krwawej wysługi miałem dochód niemający: wszystkim obracał na służbę Rzeczypospolitej i część majątności po ojcu mym zostawionej sprzedałem, ale mi tego nie żal... Zostawiając uczciwą sławę, obraz i przykład uczciwych spraw swoich... Napominam cię, nie daj się żadnym skazani ani żadnym wymysłowym perswazjom uwodzić od tego, co będziesz rozumiał być z dobrem Rzeczypospolitej, z sławnym pożytkiem jej. Pożytków żadnych swoich nie szukaj z tej miary, ani o nich myśl; za wieku mego dom rakuski osobliwie używał tych rzekupienstw; najdziesz i w skatule mojej listy z ich obietnicami. Ale ja tego do umyśłu swego nie przypuszczam, widząc i rozumiejąc, co i teraz tak rozumiem i z tym umieram, że panowanie domu tego byłoby zle Koronie Polskiej.*

Późno, bardzo późno, król docenił jego zasługi. Dopiero w lutym 1618 r. nadał Zółkiewskiemu buławę wielką koronną, a niebawem także i pieczęć wielką.

W roku 1620 na czele wojska wyruszył Zółkiewski przeciw Turkom. 3 i 4 września armia polska przepłynęła się przez Dniestr i ruszyła w głąb Moldawii. Zółkiewski zawsze uważał, że tylko przeniesienie wojny na terytorium przeciwnika może doprowadzić do korzystnego rozstrzygnięcia. Turcy początkowo byli w trudnej sytuacji: zaskoczeni polską wyprawą nie mieli jeszcze zmobilizowanej armii, nie nadeszli także Tatarzy. Zółkiewski nie zdecydował się jednak na uderzenie. Zamiast korzystać z okazji okopał się na Ceorze i tu czekał na przeciwnika, słowem — oddał inlejały w ręce Turków. Rozegrana 19 września bitwa zakończyła się porażką Polaków. Wobec zacierającego się głodu i odmowy pertraktacji ze strony Turków, hetman uszykował swe wojsko w ruchomy tabor i przebieł się ku granicom Rzeczypospolitej. W przeddzień śmierci pisał do żony: *Skinderbasza i Gaiga nie chcą już wiedzieć o układach i gotują się dać stanowczą bitwę. Przetóż nie turbuje się... chciałbym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już nie zdany.*

W pobliżu granicy, niedaleko Mohylewa, 7 października 1620 r. stoczył Zółkiewski ostatnią swą bitwę. Po rozproszeniu się naszych, kiedy w tabor Tatarzy wpadli, nie zostało się jeno pan kanclerz Zółkiewski z panem hetmanem Koniecpolskim w przedzie taboru — pisał ocalony z poronem porucznik husarii, Abraham Złotopolski. *Było jeszcze przed nami koni ze trzysta. Krzyknęliśmy wszyscy: z koni konie osiodłać i tak od koni bedziem się ostrzeżliwie! Cośmu i uczynili. Pan kanclerz zsiadłszy z konia swego przebieł go szabla, przukład drunim dając, że nie musi uciekać. Po bitwie znalaziono ciało Zółkiewskiego z odrabana ręką. Głowe uciełi Turcy i zawieźli do Stambułu. Wykupione ciało pochowano w Żółkwi.*

Już ówczesni widzieli w nim wzór odwagi, postawy obywatelskiej i patriotyzmu. Prawnik Zółkiewskiego po kadzieli zwycięzca spod Wiednia, Jan III Sobieski zanotował: *rodzice nasi uprawowali nas z młodu, abyśmy nie byli degeneres od przodków swych, wystawiając nam na oczy jeszcze to dziecięcym będącym wieku, wielką sławę ich, ochotę i odwagę... kazawszy nos zaraz z abecadłem tego wiersza uczyć z nagrobku przadziada naszego (Stanisława Zółkiewskiego): O quam dulce et decorum pro patria mori (Jak słodko i szlachetnie umierać za ojczyznę). Późniejsza zaś tradycja wprowadziła Zółkiewskiego do panteonu narodowego.*

Adam Andrzej Witusik

# Maksym Rylski a Polska

Jan Orłowski

W ROKU 1959 PIW wydał w opracowaniu Jana Śpiewaka ciekawą antologię wierszy o Polsce pt. „Polska w poezji narodów świata”.

Wynika z niej, że wiele wydarzeń z historii naszego kraju budziło podziw i wstrząsało sumieniami narodów. Dotyczyło to zwłaszcza powstańców zrywów wolnościowych, a w ostatnich dziesięcioleciach tragicznych losów Warszawy i heroicznego wysiłku jej odbudowy. Przez pryzmat tych właśnie wydarzeń najczęściej zwracała na Polskę swe oczy poezja różnych narodów.

Szczególnie żywo odbijały się zawsze sprawy polskie w poezji słowiańskiej, a spośród słowiańskich poetów chyba największym polonofilem wszeczasów był zmarły przed sześcioma laty Maksym Rylski (1895—1964). Z jego wierszy o tematyce polskiej można by złożyć oddzielny tomik poetycki. Ten wybitny ukraiński poeta dokonał bardzo dużo dla spopularyzowania dorobku kultury polskiej na Ukrainie, dla zbliżenia i lepszego zrozumienia się obu sąsiadujących ze sobą narodów. Postać i dorobek Maksyma Rylskiego zasługuje więc na przypomnienie czytelnikowi polskiemu, zwłaszcza w roku, w którym przypada 75 rocznica urodzin poety.

Maksym Rylski urodził się w Kijowie. Jego ojciec Tadeusz Rylski, pochodził z polskiej rodziny średnio zamożnej szlachty i posiadał niewielkie dobra w Romanówce w okolicach Żytomierza. Ojciec zainteresował się etnografią, był działaczem ukraińskich grupowań liberalno-narodniczych, skupiających postępową inteligencję. Przyszły poeta wyrastał w otoczeniu, do którego docebrały polskie tradycje kulturalne. W autobiograficznych wspomnieniach napisał późnie: *Głęboko ukochałem na całej życie Szweczenkę, Puszkina, Mickiewicza, trzech moich najdroższych nauczycieli... Towarzystwem jego dziecięcych zabaw był polski chłopiec Jan Olszewski, późniejszy bohater autobiograficzno-refleksyjnego poematu „Wędrowka w młodość” (1941—1944), w którym poeta napisał o swym przyjacielu z lat dziecińczych: Tyle mnie z Jakim spraw brałato równocześnie... Sam zaś utwór nosi na sobie piętno oddziaływania na poetę Puszkina i Słowackiego. W poemacie spotykamy typową dla „Beniowskiego” strofę i przesycenie*

dygresjami. W pierwszym rozdziale autor wyznawał w jednej z dygresji:

*Łubownik dawnych form,  
w oktawie zbieram zgłoski.  
„Domek w Kolomnie” był  
mi wzorem i „Beniowski”.*

Debiut poetycki Rylskiego przypada na rok 1910, na lata rozkwitu symbolizmu w poezji rosyjskiej i ukraińskiej. W tym właśnie roku Rylski, wówczas piętnastoletni gimnazjalista, wydał zbiór wierszy pt. „Na białych wespach”. Wyrażał w nich tęsknotę i smutek, chęć ucieczki od życia na fantastyczne „Białe wyspy”.

Podobne motywy wystąpią i w następnym zbiorze wierszy zatytułowanym „Pod jesiennymi gwiazdami” (1918), w którym brak również tematów społecznych, a uwagę poety przyciąga przede wszystkim „życie duszy”. Swego rodzaju ucieczką od rzeczywistości było sięganie do tematów klasycznych, czego najdobitniejszym wyrazem był zbiór wierszy „Sina dal” (1922), w którym Rylski opiewał wieczność i trwałość idei piękna, wielbił wielkich poetów przeszłości. Reprezentował on wówczas silny w porowolucyjnej poezji ukraińskiej nurt „neoklasyczny”.

Zwrot w stronę klasyków i literatura ich dzieł objęła także i poezję Mickiewicza, który w większym stopniu niż Szekspir zafascynował poetę na całe życie. Pierwszy poetycki ślad zainteresowania Mickiewiczem odnajdujemy w wierszu „Człono” (1924), który Rylski dedykował polskiemu poecie, nazywając go największym epickim poetą nowych czasów. Wiersz jest do głębi przeniknięty wpływami „Pana Tadeusza”. Widac w obrazach przyrody, jej personifikacjach, w charakterystycznej budowie porównań, w strukturze niemal każdego zdania. Świadczy o tym chociażby ten fragment opisu lasu, przez który wędruje rybak:

*Tam w tańcu wiecznym  
osikowy liść  
Trzęsie się, zrywa, leci  
w drzącym płacie.  
W górę. I w górę hardo  
szczyty pną się.  
Jałowca gęsty,  
długoreki krzew  
Szumi do szczytów,  
do sosnowych drzew,  
Dla przyjacielskiej chyląc  
się rozmowy.*

W roku 1927 poeta opublikował ukraiński przekład „Pana Tadeusza”. Poprawioną wersję tego przekładu

wydał w roku 1948. Był to jeden z najlepszych słowiańskich przekładów naszej narodowej epopei, a tłumaczowi przyniósł nagrodę polskiego Pencluba. Rylski przyswoił czytelnikowi ukraińskiemu również „Konrada Wallenroda”, „Sonety krymskie” i niektóre ballady. O twórczości polskiego poety napisał obszerne i gruntowne studium „Poezja Adama Mickiewicza”.

Ślady lektury arcydzieła polskiej poezji i uwielbienia dla jego autora nosi także napisany w roku 1929 wiersz, który rozpoczynał się od słów:

*I znowu otworzyłem księgi  
„Tadeusza”,  
Rozłożyłem papiery,  
zasłoniłem okno,  
Znowu szlachta przeciąga  
w rojnym korowodzie  
I w romantyczną drapuje  
się Hrabia  
I znowu róg myśliwski gra  
ponad borami.  
Jakby wyrzucał na niebo  
triumfalny zew.  
Znowu mistrza podziwiam,  
który tak potrafił  
Prowadzić swoją  
niezawodną ręką  
Butnych panów. I w ciszy  
znowu zabrzmiały słowa  
Potężne niby spisu uderzenie.*

Rylski na początku lat trzydziestych zdecydowanie przeszedł na pozycje rewolucyjnej proletariackiej i w wierszach z tego okresu wyraźnie akcentował klasowe podejście do tematu. Nie cechowało go jednak nigdy jednostronne spojrzenie na Polskę jako kraj „jaśnie-pański”. Poeta dostrzegał zawsze i wysoko cenił te trwałe wartości, które naród polski wniósł do skarbnicy kultury ogólnoludzkiej. Stąd wywodził się tak łatwo uchwytyny w jego twórczości kult Mickiewicza i Szopena.

Najślawniejszemu polskiemu kompozytorowi poświęcił znany wiersz pt. „Szopen” (1934). Utwór ten można by określić jako znakomitą instrumentalizację bogactwa rytmu i treści muzyki Szopena. Poeta kończył wiersz słowami:

*Panie Fryderyku,  
Wiem, że w tym walcu nie  
ma wicheru, śniegu,  
Ni sań pędzących, ni  
rączego konia,  
Wiem, że to wszystko domysł  
mój, fantazja...  
To i cóż z tego?...  
Dość, że pokochałem  
Swoją piękną sen, a za ten  
sen — i ciebie  
Kapryśny, chuderlawy  
muzykancie...*

W roku 1941, w okresie, kiedy faszyzm roznieca nacjonalistyczne nastroje i podsyca konflikty narodowe, Rylski pisze znany wiersz „Do braci Polaków”, w którym nawołuje „wszystkie narody i plemlona” do wspólnej walki „z przemocą katów i zbrodniarzy”.

W wierszu „Jeździec miedziany” (1945), który jest poetycką apoteozą bohaterstwa Leningradu w latach wojny, raz jeszcze przywoła na pamięć znany i w polskiej poezji obraz spotkania dwóch wieszczów pod pomnikiem Piotra Wielkiego, okrytych jednym płaszczem.

W latach powojennych Rylski kilkakrotnie odwiedzał Polskę. Owocem tych odwiedzin był cykl wierszy pt. „W młodej Polsce”, napisany w roku 1950. I w tym cyklu złożył hołd uwielbienia wielkiemu polskiemu poecie, poświęcając mu wiersz pt. „Pod pomnikiem Mickiewicza”, w którym nie pierwszy już raz zestawiał Mickiewicza z Puszkinem i Szweczenką:

*W przyszłości blask  
zwracacie oczy,  
Ty, brat Puszkina i Szweczenki,  
Dlatego brzmi wasz głos  
protoczy  
czystym dźwiękiem.*

Inny wiersz z tego cyklu poświęcił poetę Warszawie i kończył go słowami, które mógł napisać tylko człowiek rozmiłowany w Polsce: *Szumi dziś ziemia tua zielona, Nrawdę Rzecz już Pospolita, Jakby Szopena brzmiał polonez, Jakby Kościuszki zew ją witał.*

W latach pięćdziesiątych Rylski napisał szereg drobnych utworów, w których występują tematy polskie. Należy do nich wiersz „Na występie „Mazowsza” (1956), „Serce Szopena” (1957) oraz w roku 1958 cykl sonetów poświęconych Mickiewiczowi („Maryla”, „Zamek Mindoga”, „Kamień filaretów”).

Dokończenie na str. 11

Kamena str. 5

## Jerzy Chłodnicki

### klamra

*początek  
rozchukana ziemia ścisnęła wszystko co ludzkie w głąb nocy  
straszna swatka babarycha rozrzuciła piasek  
wyrosły kamienie potężne głowy rozumne przewrotne  
i dzieł był już lasem nieprzebytym w pojeźdnykę  
uśmiech babarychy wyniósł z pieczary smak całunków  
wypłynęła rozchełstana ziemia na obłoku  
był dzieł*

*moja wiarygodna opinio o lesie spraw by laka wiedziata  
ze każdy zawilec wilczym pudruje różem nosy pszczoł  
niech wie laka co jest prawdopodobne w tym lesie  
i niech wieidórki nie muszą wtrącać lubieżnych uwag  
niech to zostawią dzikom na rozpięte*

*tak wszystko co ludzkie czernią rozpięło się w lesie  
noc przejrzała i strasznie śmieszny był taniec  
było tak ciasno że korzenie musiały się splatać  
pień ocierać z pniem  
i udusiła się wtedy swatka babarycha  
a trzask był tak wielki  
że kamienne głowy przewrotne zamilkły  
był ósmy maja dzieł wiosenny  
koniec*

Gardzienice

## Mirosława Kužel

\* \* \*  
— jak szept nisko zbiegły twój cień się prześliznął —

*niosę cię — blizno nocy niesiona równinami światła  
w nieistniejący ogród krwi podróżującej — twoją ciemność  
w krajobraz pomyślany jak w głos gdy ta jest bezradność  
co przy narodzinach*

*niosę cię — blizno nocy obnażona równinami światła  
w krzyk ciągłej podróży potknięcia o światy — twoją zdołność  
w niskie pochylenia horyzontów morza gdy w tym zaczajeniu  
brak zamysłu skoku*

— jak szept nisko zbiegły twój cień się prześliznął —  
w opadłej łzie płasko się toczy horyzont — w dłoniach  
blizno nocy i krwi — ciemne tętno podróży

Zielona Góra

# Dzieci wcale nie z marginesu

Jerzy Dostali

W Warszawie odbywa się właśnie drugi Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia do Badań Naukowych nad Upośledzeniem Umysłowym. Przewodniczącym Polskiego Komitetu Organizacyjnego jest doc. dr Ignacy Wald z Instytutu Matki i Dziecka. Udział w Kongresie bierze ponad tysiąc naukowców z 26 krajów, w tym kilku z Lublina. Na obrady plenarne i komisji zgłoszono ponad 200 prac naukowych. Obok lekarzy i biologów Kongres zgromadził także chemików, seziologów i specjalistów z wielu innych dziedzin, nie wyłączając nawet architektów. Problem upośledzenia umysłowego jest bowiem nie tylko ważny naukowo i społecznie, ale i bardzo skomplikowany, wymagający ścisłej współpracy specjalistów wielu dziedzin.

Dodajmy, że jednym z omawianych problemów będzie również rehabilitacja dzieci umysłowo upośledzonych przy pomocy sztuki — zarówno samej twórczości, jak i recepcji. Szczególne znaczenie przypisuje się tu wychowaniu muzycznemu, a prowadzi się badania nad aktywnością plastyczną tych dzieci.

Nauka często zajmuje się nie tym, co najważniejsze, ale co łatwiej rozwiązać — stwierdził w podsumowaniu swego prawie godzinnego wystąpienia docent doktor medycyny z Instytutu Matki i Dziecka. Dzień był upalny, siedzieliśmy wygodnie w starożytnych fotelach jednej z placówek PAN-u na 24 piętrze warszawskiego PKiN, popijając na konferencji prasowej gorącą kawę i zimną wodę sodową.

Wie pan, w nauce często stawia się tezy, które już od początku wydają się co najmniej podejrzane. Był to ruch. Chociaż — tu chwila namysłu — chociaż to nie jest wcale takie złe, pobudza bowiem do dyskusji, a to już dobrze. Dlatego, że wtedy trzeba udowodnić rzeczy, które w wszystkim wydają się normalne, a po bliższym przyjrzeniu się wcale tak nie normalne. Czasem nie są — powiedział mi podczas przypadkowej dyskusji w Parku Saskim docent lubelskiej Akademii Medycznej, o którym następnego dnia prasa doniosła, że otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego.

Nie podaje nazwisk, nie chcąc gromadzić burzy nad dwoma cudzymi i jedną własną głową. Ale problem, od którego wywodzą się te dwie roznowy, jest na tyle ważny, a przez zwykłych ludzi (co to znaczy właściwie — zwykli ludzie?) raczej niedostrzegany, że jednak trzeba go poruszyć. Lekarze niech mi wybaczą uproszczenia — to nie może być rozprawa naukowa. Podobnie studentki medycyny — to nie podręcznik. Czytelniczki („zwykli”) niech zaś nie gniewają się, że też wszystkiego dokładnie nie wyłoży, bo to nie jest potrzebne.

A więc chodzi o upośledzenie umysłowe u dzieci. Rzecz najczęściej skrytykowaną przez rodziców. Najgorsze to, że jakże często ukry-

wają to sami przed sobą, mając gdzieś tam w głębi serca nadzieję, zrodzoną z rodzicielskiej miłości, że to chwilowe, że minie, że im się zdaje, że... że... A potem jest już zbyt późno.

Otóż trzeba stwierdzić na wstępie, że choroba psychiczna, a upośledzenie umysłowe to dwie różne rzeczy. W pierwszym przypadku mamy do czynienia po prostu z chorobą, w drugim z zaburzeniami. Granica jest tu wprawdzie dosyć cienka, ale dla pediatrów czy psychiatrów całkiem wyraźna. Wniosek z tego prosty: gdy rodzice spostrzegają jakikolwiek niedokładności czy dziwne objawy, trzeba natychmiast udać się do lekarza. I to specjalisty.

A nie zawsze tak bywało. Nie tylko w średniowieczu, ale jeszcze przed stu laty dosyć powszechnie uważano, że upośledzenie umysłowe dziecka jest wynikiem grzechu — i to śmiertelnego — rodziców, a najczęściej matki. Było niemal ewidentnym dowodem jej cudzołóstwa. Więc święconą wodą czy kadzidłem usiłowano wypędzić diabła, który zagnieździł się w dziecku w wyniku cudzołóstwa matki. Zabiegi te, równie efektywne co zupełnie nieskuteczne, pozostawiały dziecko własnemu losowi.

Gdzieś pod koniec zeszłego stulecia nauka doszła do wniosku, że upośledzenie umysłowe to jednak choroba. Ale choroba statyczna, o niezmiennym przebiegu, którego nie da się poprawić. Takie podejście było właściwie wydaniem z góry wyroku skazującego dziecko na dożywotnie wegetowanie, było więc żywym zaprzeczeniem tych wzniosłych haseł, które zawarł Hipokrates w swojej „Przysiędze”.

Ale już tenże mądry Hipokrates w piśmie „Peri hieres nosu” (O świętej chorobie) odrzucał pogląd, jakoby przyczyną epilepsji było opętanie przez diabła — co tak usilnie wmaiwiali nie tylko ówczesnym ludziom kapłani — ale, że jest to po prostu choroba mózgu. I dopiero przed 30 laty stwierdzono, że tak bywa nie zawsze.

Dzisiaj — według definicji Międzynarodowej Organizacji Zdrowia — za upośledzenie umysłowe uważa się istotny stan zahamowania rozwoju ogólnych możliwości poznawczych przed okresem dojrzewania człowieka (a więc mniej więcej przed 15 rokiem życia), co wpływa ujemnie na możliwości dorzeczowania umysłowego, uczenia się i przystosowania do środowiska. Problem uważa się za bardzo złożony, uwzględnia się czynniki biologiczne i społeczne, a w każdym razie widzi się duże możliwości osiągnięcia poprawy. Światowym pionierem w tej dziedzinie była polska uczona Józefa Jotejkowa, która w pierwszych latach międzywojennej nie-

podległości zajęła się tym problemem na wysokim szczeblu Instytutu naukowego.

Im większy stopień upośledzenia, tym trudniejszy, oczywiście, transfer myśli pomiędzy człowiekiem tzw. normalnym, a upośledzonym. Stąd ci pierwsi najchętniej machali ręką na tych drugich, wyłączając ich z życia w zaciśniętym rodzinnym, które zamieniało się w piekło, w zakładach specjalnych, na których utrzymanie organizowano bale i tombole, loterie i składki, inicjowane przez panie z towarzystwa. A tymczasem dzisiaj przy taśmie montażowej telewizorów holenderskiego Philipsa połowę załogi stanowią ludzie upośledzeni. Stwierdzono praktycznie — nawet ku zaskoczeniu wielu lekarzy i psychologów (nie psychiatrów, bo ci nie mają tu nie do roboty, jako że upośledzenie i choroba psychiczna to dwie zupeł-



0-2 2-9 10-19 20-29 30-39 40-49 50-59 60-69 70-79 od 80

Zadane lekarstwo nie jest obojętne — lecząc jedną chorobę, przez swoje skutki uboczne działa szkodliwie na inne organy. Oto jak według danych Międzynarodowej Organizacji Zdrowia wygląda spożycie lekarstw według grup wieku. Czyli aż 14 proc. ogółu lekarstw, spożywanych przez dzieci do lat dwóch, to nie za dużo?

nie odrębne sprawy) — otóż stwierdzono praktycznie, że bardzo nawet ograniczona możliwość nauczania dzieci upośledzonych czytania i pisania (dorośli też wcale nie wykulczyli możliwości nauczania ich pewnego typu czynności użytkowych, a więc pracy. Okres nauki jest wprawdzie dłuższy, trzeba do tego mieć fachowców i to bardzo cierpliwych — ale, jak twierdzi dyrektorka Philipsa, wydajność pracy tych ludzi prawie wcale nie odbiega od wydajności normalnej.

Tu zresztą warto może przypomnieć, że Albert Einstein jako lekko upośledzony przeżywał pewien czas w zakładzie specjalnym. A jeżeli na jego życzenie pogrzeb tego znakomitego uczonego przed 15 laty odbył się w wielkiej tajemnicy i poza kilkoma osobami nikt nie wie, gdzie znajduje się jego grób — to wielu ludzi uważa, że była to również decyzja człowieka lekko upośledzonego, co wobec jego wielkości należało już nazywać dziwactwem. Zresztą podobno w tej właśnie kategorii lekko upośledzonych mieszczą się często — bez żadnej

złościwości — geniusze. Co zdaje się m. in. potwierdzać pewien polski młody człowiek z dużego miasta, który w dziedzinie matematyki działa nierzadko wysokiej klasy komputer...

Rzecz polega na wczesnym rozpoznaniu upośledzenia. Prof. dr Antoni Gębala, kierownik II Kliniki Pediatrii Akademii Medycznej w Lublinie, zaproszony na warszawski Kongres, tak mi wyjaśnia kilka spraw:

— Upośledzenie jest związane z defektem anatomicznym lub biochemicznym rozwijającego się mózgu dziecka. Przyczyna tych defektów jest albo wrodzona albo nabyta w czasie ciąży lub porodu. W okresie ciąży mogą działać na matkę różne szkodliwe czynniki: zakażenia wirusowe lub bakteryjne, niedobory pokarmowe, urazy fizyczne lub psychiczne, nawet leki. Jeżeli np. w

czasie porodu dopływ krwi do mózgu jest słaby, następuje niedotlenienie organizmu dziecka. Wystarczy 6 minut, aby już występował ujemny wpływ na dalszy rozwój mózgu. A po 10 minutach występują już zmiany nieodwracalne. — I dlatego, mimo tzw. dobrych warunków, drobiazgowego przestrzegania aseptyki, rodzenie w domu zawsze ma w sobie jakiś procent niebezpieczeństwa. Wprawdzie najmłodszego w danej chwili obywatela, który przychodzi na świat młodziem, wita się wtedy z reguły klapsami... — To rzeczywiście pobudza dziecko do krzyku, krzyk pobudza do pracy płuć, zwłaszcza ich górną część i w ten sposób dziecko chwytając oddech, ale to nie zawsze się udaje na czas. A jeżeli chodzi o przyczyny wrodzone, trzeba wspomnieć o tzw. aberracjach chromosomowych. Są to odchylenia od normy zarówno w kształcie jak i w liczbie chromosomów. Do nich należy np. choroba Downa, zwana dawniej mongolizmem (występuje z charakterystycznymi zmianami fi-

zycznymi, jak mała głowa o nakłej czaszce, skośne szpary powłokowe, szerokie rozstawienie oczu, półotwarte usta z dużym językiem — przyp. J. D. z encyklopedii). Drugi typ to choroby dziedziczne genetycznie uwarunkowane, jak np. fenylketonuria, która zdarza się raz na dziesięć tysięcy żywych urodzeń. Polega ona na zaburzeniu w przędniach aminokwasu fenylalaniny do tyrozyny.

— Na tej konferencji prasowej w Warszawie powiedziano, że takie zaburzenia występują także u matek w stosunku 1:700 i wtedy mleko matki, uważane dotychczas zawsze za najlepsze lekarstwo, po prostu zatrąwa dziecko.

— W naszej klinice — ciągnie prof. dr Gębala — zajmujemy się ustalaniem przyczyn niedorozwoju umysłowego i wczesnym wykrywaniem zaburzeń metabolicznych, które powodują niedorozwój mózgu. Na Kongresie w Warszawie będziemy właśnie referowali sprawy, związane z wykrywaniem przyczyn tych zaburzeń. Zbieramy bardzo dokładne wywiady od rodziców dziecka, starając się wykryć wszystkie choroby u rodziców oraz u matki w czasie ciąży. Ponadto interesujemy się przebiegiem porodu i zachowaniem się dziecka od pierwszych tygodni życia. Następnie wykonujemy badania chromatograficzne moczu i krwi, które pozwalają zorientować się, czy przyczyna niedorozwoju umysłowego jest zaburzeniem w przemianie białek (np. fenylketonuria, homocystynuria, tzw. choroba syropu klonowego, tyrozynemia). Jeśli dają one wyniki ujemne, wykonujemy badania hydrocefalometryczne i pneumoencefalograficzne, które umożliwiają nam wykrycie ubytków w tkance mózgowej i przyczyn zaburzonego krążenia w płynie mózgowo-rdzeniowym.

— Czy wykryto jakiegokolwiek prawidłowości w występowaniu tych chorób na Lubelszczyźnie, może propozycje tych chorób?

— To jest pytanie relatywne. Odnosi się ono do wszystkich dzieci w naszym województwie, a my możemy mówić tylko o tych, które przebywają w naszej klinice. Ale proszę sobie przedczytać opracowanie naukowe jednego z naszych pracowników na sympozjum, które odbyło się przed dwoma laty w Gdańsku.

Czytam więc pracę asystentki lek. med. Janiny Kalenik, a ze streszczenia przytaczam „Przeanalizowano 3671 historii chorób dzieci hospitalizowanych w klinice w okresie 3 lat. Wady i uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego

# Tańczą ludzie-nietoperze

Dokończenie ze str. 1

Część sali wyraziła aprobatę dla nieskomplikowanego rozwiązania problemu, zaczęto głośno debatować, gdzie zdobyć woreczki, ale protest drugiej części zniewieczył racjonalny pomysł. Ktoś z opozycji z ironicznym uśmiechem wskazał przy tym na tekst, widniejący na drzwiach pomiędzy salami jadalni — „Nakrycia stołowe nie lekarstwo, nie brać po jedzeniu!” — uznając hasło za niesmaczny dowcip.

Wieczorem zaś pierwszego dnia oficjalnego, ale nieco później, był wieczorek zapoznawczy u lokalnej kawiarni na piętrze nowego budynku o dziwacznej nazwie, mało sportykowej, a może uwalę, którą powinniśmy jednak milczeniem, bo nie donosimy na nikogo, sami zresztą będąc u niematego strachu.

Na wstępie facet, niebieskooki blondyn, w „rafflach” za 8 dolarów, tak więc ów szef czasowej kultury i rozrywki stanął na podium, obok orkiestry, i powiedział lekko znużonym głosem:

— Proszę państwa, witam, robimy kółeczko!

Oczywiście, wszyscy zrobili kółeczko, bo jak nie robić kółeczka na czasach, na czasach trzeba robić tylko kółeczko i inne krzyżówki. Uformowano więc kółeczko, a potem dwa kółeczka: panie stają wstępną, panowie odrobinę. W

pewnym momencie kulturalno-umiechnięty blondyn o niebieskich oczach krzyknął „Stop!”, a potem: „Panie odwracają się i całują panów!”

Zabrzmiało to kategorycznie, nieodwołalnie, wszyscy zamarli, panie wdzięcznie, acz nie bez lęku, odwróciły się frontem, a jedna z nich, na widok swego obiektu do erotyzowania, wyjąkała z przeproszającym uśmiechem: „Pan jest taki spocyny...” Potem pocałowała przeciw wybrańca w spierone policzki, wygolonę jednak „silverem”, o czym dowiedziano się później.

Kawiarnia i jej orkiestra zaczęły więc modularnie życie czasowe w sposób totalny. Ktoś zauważył, że były to wczesny lecnice i będzie bardzo naiwny w tej swojej pięknej radości lecnicej. Leczenie czasowe to sprawa dość egzotyczna, ponieważ nie ma tu na ogół ludzi bardzo chorych, choć każdy jakiś tam bagaż reumatyzmu-serwicy przywiózł. Ale przede wszystkim są tu ludzie — jeśli wierzyć ich zachowaniom — którzy chcą innych ludzi poznać, pokochać, innym ludziom się zwierzyć.

— Oczywiście, jestem mężatka, od piętnastu lat, mam dorodne dzieci, ale maż mnie zupełnie nie rozumie. Jestem kobietą bardzo subtelną, pan to rozumie, lubię muzykę, bardzo na przykład przepadam za Urszulą Sipińska i Woźniakowskim, a mój maż?! Mój maż jest urzędnikiem stanu cywilnego (inżynierem, technikiem, ekonomistą) i kiedy po pracy przychodzi do domu, to wie pan, co on mówi! Ze mu się Herzba zgo-

nów i urodzin mieszka! To dla mnie złożeństwo, bo ja jestem uczuciowa, lubię brozozy, ładne obrazy, pan zna na pewno taki obraz Kossaka, gdzie czuwałe nasza kawaleria, a ulany stukają go okienko... A czy pan lubi...

I w tym momencie zagrała orkiestra, zagrała szlagier sezonu, czyli „Krzężą ludzie nietoperze, spijając słodki grzechu miód”, więc wszyscy w tan się udali, poczę się zawzięcie — z zaduchem czy emocji, nie wiadomo.

Orkiestra zresztą była bardzo sprawna, szczególnie wówczas, gdy na sali zjawiali się rodacy zza oceanu. Dla nich właśnie szordrze szpano prostą, ludową piosenkę: „Górale, nie bijta się! Ma góralka z przodu, z tyłu, podzieliła się.”

— Ja ich wszystkich już znam — po trzech dniach turnusowych zakomunikowała pani Kryśka. — Oni mają szkołę muzyczną.

— Pani tu się niszcz, przy takich znajomościach — zauważył złośliwie pan Lolek.

— Niszczę się w domu — odprowadzała pani Kryśka, sposobna się do randki z trzecim dziś partnerem.

— A wie pan — nachyliła się do pana Władka, prezesa spółdzielni zaopatrzenia i zbytu w średniej wielkości mieście. — Pan jest taki meski i subtelny, jak Gregory Peck albo Staszek Mikulski.

— Niech pani nie truje, pani Kryśka — wycedził pan Władek, ale widać było, że niło mu.

Najgorsze były te kapele i prze-różne zabiegi elektryczne. Znajomy

stenograf, pan Jasio, miał pięć plag do odbierania: kapele mineralne, borowiny (wieszaki w poczekalni jeszcze z czasów Towarzystwa Akcyjnego Konrad Jarnuszkiewicz i Ska), czterokomorówkę, diadynamie i bicze szokujące. Koneserzy czasowi wiedzą, na czym rzeczy polegają, więc tłumaczyć nie ma sensu, odstępowo małe udymnie wypada tylko w rejonach ograniczonych.

— Jak się da, to się robi wcześniej i lepiej — zwykł mawiać jego gomość funkcjonujący jako kapele-lowy.

No więc dawano się, minimum 2 zł od lekko-zabiegu. I tak codziennie, przez trzy tygodnie.

— Tak wypada — komentował inżynier Longin. — Ta konwencja obowiązuje w całym kraju, wszędzie wszyscy dają napiętki.

— No tak, pan ma rację, tylko dtażcego spuścił pan tę panią do piwnicy? Nie chciał pan skompromitować się takim towarzyszem, rozumiem.

Pewnego dnia jakiś szczerpy, szpakowaty czasowicz, chyba mężczyzna, pukał do drzwi wszystkich pokoi, w dłoni ścisnął kartkę papieru z nazwiskami kuracjuszy.

— Pani będzie laskawo, tylko po 10 złotych, składamy się dla kelnera — powtarzał.

— Czy panu nie wystyd! — nie wytrzymała pani Alicja.

A jemu wystyd nie było, czuł się raczej zaskoczony, może nawet obrażony, ale odszedł mamrocąc, że przymusu nie ma, a skąpych nigdy nie brakowało.

owej kawiarni, nie omijając i drugiej, gdzie parkiet trzeszczący, orkiestra fatalna, a w ludzkim pejszu nie ciekawego poza tą panią w czarnej sukni jedwabnej w białe groszki, o delikatnym makijażu, który i tak jej niepotrzebny, ale nie przeszkadzał.

Chodził więc i tańczył, a noga jego nieszczęsną puchła i puchła. Niech więc powie ktoś, jedynacznie nie powie, że na wczesny lecnice ludzie jeżdżą po zdrowie!

A kiedy wracał około północy, prał skarpety, taki on — technik mechanik z wielkiego zagłębia — był higieniczny, że u współtowarzysza wczesowej radości budził filozoficzną refleksję nad wspaniałą genezą człowieka i szopa czasu.

W tej podłej kawiarni odbywał się kiedyś wieczorek poezyjny jakiegos turnusu jakiegos sanatorium, a pani kulturalno-rozrywkowa powiedziała do mikrofonu, że „mowy dretwej długo wstawiać nie będzie”. Chciała być „babką różną”. Była to doprawdy wczesowa równość, gdzie każdy chce być kimś innym, niż jest, i „równym” zaszem.

Inżynier Longin zwierzył się, że „młulaci też są „równi!” miał na myśli kilku wczesowiczów, na co dzień pracujących i na roli i w przemyśle. Z dużym samozaparciem leczyli się oni napojami o potężnym stępieniu emocji, przynajmniej ze sklepu GS w teckach. Jeden z nich — kontynuował inżynier — złapał robaczka świętojańskiego i zamknął go do walizki, „aby była jakaś pamiątka z wczasów, dla siebie i rodziny”. Inżynier wytknął amatorowi świecących pamiątek, ale czy miał do tego prawo? Dla jednego robaczek świętojański nie jest wspomnieniem, dla drugiego liczba bliskich znajomych, uwieczniona w sekretnym notisie, dla innego czy innej śmiała na pińku u wyłotw miedzy-



**N**IE tak dawno odbywały się matury i egzaminy, a oto znów początek roku szkolnego. Wszyscy niemal jesteśmy nim zainteresowani, bo w pewnym okresie życia wszystko obraca się wokół sprawy szkoły. Tak jest dzisiaj, tak było również — choć nieco inaczej — kiedyś. Oto jak opisuje egzamin wstępny do gimnazjum lubelskiego w 1850 roku Robert Przegaliński, syn właściciela folwarku Grabówka, późniejszy uczestnik powstania 1863 r.

Gimnazjum mieściło się jeszcze wówczas w gmachach pojezuickich, przy placu Katedralnym. Na głównym korytarzu piętra było gwaro i ludno. Mnóstwo matek, trochę ojców, między rodzicami chodzą profesorowie; malców wpuszczono do dużej sali, w której mają odbywać się egzaminy. Obok małego Roberta siedział chłopak starszy od niego, który wszedł z nim od razu w bliższą znajomość. Nazywał się Karol Moreau, był synem właściciela majątku Studzianki położonego o trzy mile od Janowa. Przyznał się, że już w roku ubiegłym przystępował do egzaminu, lecz z niewiadomych powodów nie został przyjęty. Od niego mały Przegaliński dowiedział się, że najpierw egzaminować będzie z katechizmu książkę prefekt, a następnie garbaty profesor zadawać będzie pytania z matematyki. Mój mentor — czytamy we wspomnieniach — uczy mnie, że tenże garbaty ma zwyczaj zadawać podstępne pytania do rozwiązania z pamięci, np.: „Trzech Żydów jechało na jarmark na jednym wózku, przejechali razem pięć mil, ile razem oni drogi odbyli?” — Pamiętałem, żebyś powtórzył, iż razem ujechali pięć mil, bo jakbyś powtórzył, że 15, to od razu byś się „spiekł”.

Zanim nasz młody kandydat na ucznia zdolał się czegoś więcej dowiedzieć od swego przyjaciela, otworzył się drzwi, a do klasy weszli profesorowie z inspektorem szkolnym i ks. prefektem na czele. Prefekt zadał małcowi pytanie: — „Powiedz mi, kto się pierwszy dowiedział o narodzeniu Chrystusa Pańskiego?” Ja umiałem tylko pierwszą część katechizmu ks. Putiatyckiego, gdzie o takich subtelnościach jeszcze nie

wieczorem, za schwyłaniem na gorącym uczynku palenia fajki lub gry w bilard w cukierni, gdzie wstęp uczniom był surowo zabroniony”.

Zakazów, których uczniowie winni byli ściśle przestrzegać, było zresztą bardzo dużo i obejmowały one rozmaite dziedziny życia, nawet... sport. Bolesław Hryniewiecki, uczeń gimnazjum rosyjskiego w Lublinie w latach dwudziestych, za czasów osławionego dyrektora Mikołaja Siengalewicza, wspomina, iż surowo zakazane były: przechadzki za miasto, palant, łódka, rower, konna jazda, teatr; szlagawka i kąpiel były zaledwie tolerowane, wyznaczano bowiem także miejsca i takie godziny, że w kącie mało kto z nich korzystał. Pamiętam, jaka burza gniewu spotkała paru maturzystów, gdy na parę dni przed otrzymaniem matur zlapano ich... na łódce. „Tylko tego jeszcze brakuje, żebyście siedli na rowerach!” ułoał rozwiścieczony dyrektor wobec całej klasy. Nie wiem co mu zainicjował ten niewinny fródek lokomocji, dość, że w Lublinie to było uważane za szczyt przestępstwa — wspomina Hryniewiecki”.

Kary cielesne miały bogate tradycje, a to dzięki szkolnictwu jezuitckiemu. Jędrzej Kitowicz w Opisie obyczajów za panowania Augusta III w rozdziale „O wychowaniu dzieci” opowiada, że kary szkolne na tych, którzy się uczyli nie chcieli albo swawolnie jako popelnili, były: niedopuszczenie jedzenia obiadu, kłócenie albo plag. Opisuje również szczegółowo instrumenty kary; były to — placenta, skóra gruba okrągła, w kilkoro złożona, osadzona na drewnianym trzonku, którą za omyłki w czytaniu bito w rękę, różga brzożowa albo dyscyplina była zazwyczaj rzemienna, u surowszych nauczycieli ze sznurków nicianych mocno spleciona, mająca śladem lub dziewięć odnóg, którą bito w tył obnażony najmięcej trzy, najwięcej zaś piętnaście razy według przetożenia, według cierpiętności ciała i według surowości lub łagodności nauczyciela. Dla chłopców starszych używano natomiast kańczuga. Był to rzemień twardy, innym rzemieniem dobrze opleciony, osadzony na trzonku drewnianym, długi na łokieć, składany jak

związane z patologią ciąży stwierdzono u 60 dzieci. Najczęstszymi z nich były: porencefalia (12), wczesne dziecięce porażenie mózgowie (10), małogłowie (9), wodogłowie wrodzone (8) oraz toksoplazmoza wrodzona (8)... Stwierdzono częstsze występowanie wad rozwojowych mózgu w przypadku, gdy czynnik szkodliwy zadziałał w I tryestrze ciąży. A z załączonej tabeli widać jasno, że owym „czynnikiem szkodliwym” w 38 proc. była grypa, w 28 proc. inne choroby zakaźne, w ponad 13 proc. toksoplazmoza — choroba pasożytnicza, wywołana przez pierwotniaki, które człowiek nabywa głównie od zwierząt, przede wszystkim od świń, ale nie tylko. Myślę, że warto podkreślić szczególną szkodliwość tych czynników w trzech pierwszych miesiącach ciąży, bo w praktyce przyszła matka dba o siebie — a także otoczenie o nią — znacznie później.

— Dzięki tym badaniom — ciągnie prof. Gębala — wykryto przypadki fenylketonurii, które można było następnie leczyć odpowiednią dietą, pozbawioną tego aminokwasu, którego dziecko nie toleruje. Jeżeli taką chorobę wykryjemy u noworodka dość wczesnie, w ciągu kilku dni lub tygodni jego życia, to prawie na pewno zapobiegniemy upośledzeniu.

— Z czego wynika, że gdyby takie badania przeprowadzić powszechnie i obowiązkowo, moglibyśmy wiele dzieci uchronić przed późniejszym niedorozwojem umysłowym?

— Oczywiście. Ale to wymaga stworzenia najpierw odpowiedniej bazy badawczej i prawnej, do czego zresztą się zmierza. Ale teraz my w klinice w 90 proc. leczymy ofiary zaniedbań środowiska. Przy odpowiednim postępowaniu zapobiegawczym już teraz można by uniknąć wielu ciężkich chorób przewodu pokarmowego, narządu oddechowego, nerek, narządu krążenia i ośrodkowego układu nerwowego, których leczenie później kosztuje dużo pieniędzy, a nie zawsze jest w pełni skuteczne.

— To brzmi jak oskarżenie wobec społeczeństwa...

— Tak, ale to niestety prawda, chociaż — naturalnie — nie dotyczy wszystkich. Myślę tu przede wszystkim o młodych ludziach, którzy zakładają rodziny i w większości przypadków nie wiedzą, jak postępować, aby ich dzieci rozwijały się prawidłowo. Dlatego jest rzeczą konieczną, by przed zawarciem małżeństwa młodzi ludzie dokształcali się w najbardziej zasadniczych sprawach, dotyczących zachowania zdrowia własnego i dzieci. Możliwości są duże — szeroka sieć służby zdrowia, popularne broszury, czasopisma, pogadanki lekarzy, prasa, radio, telewizja — trzeba tylko z tych możliwości korzystać, aby przyswoić sobie niezbędne wiadomości o warunkach prawidłowego funkcjonowania organizmu własnego i szybko rozwijającego się organizmu dziecka.

Dziękując profesorowi sięgam jeszcze do danych Światowej Organizacji Zdrowia. Otóż 2—3 procent dzieci na całym świecie to dzieci upośledzone umysłowo. Badania ostatnich lat potwierdziły, że podobnie jest i w Polsce — a więc mamy około 250 tysięcy dzieci (do lat 18) w różnym stopniu upośledzonych umysłowo. Z jednej strony coraz bardziej rozwija się u nas profilaktyka, z drugiej rehabilitacja — powstają specjalne przedszkola, szkoły i warsztaty pracy chronionej, te ostatnie prowadzone głównie przez spółdzielczość inwalidzką. Jeszcze przed dwoma laty pracownicy Instytutu Matki i Dziecka odnajdywali w normalnych szkołach podstawowych dzieci z upośledzeniem sięgającym 30 proc. Bywały też przypadki, że niektórzy nauczyciele, aby pozbyć się tzw. dzieci trudnych, kierowali je do szkół specjalnych. Jedno i drugie było równie szkodliwe. Teraz dąży się do rozwiązania problemu także przez tworzenie w każdym powiecie klas specjalnych, o czym mówi na innym miejscu kurator lubelski T. Kacki.

Dokończenie na str. 11

# Jak dawniej uczono w szkołach lubelskich?

Henryk Gawarecki

nie ma, ale śmiało odpowiadam: „Przez ciebie o narodzeniu Chrystusa najpierw dowiedziała się Matka Boska”. Ks. prefekt odwraca się do Wierzbickiego z uśmiechem, nawzajem inspektor uśmiecha się do księdza — i nie dojąc już rozwiązania tej kwestii — przechodzą do sąsiada.

Po egzaminie z religii, matematykę rzeczywiście zadał Przegalińskiemu stereotypowe pytanie o jadących na jarmark. Nauczony przez kolegę chłopiec odpowiedział prawidłowo. Po matematyce nastąpił egzamin z języka rosyjskiego (czytanie i gramatyka), potem niemieckiego (czytanie i tłumaczenie na język polski) i wreszcie z języka polskiego. Po skończonym egzaminie odbyła się półgodzinna narada grona nauczycielskiego i ogłoszenie wyników. Przegaliński został od razu przyjęty do drugiej klasy (pamiętajmy, że ówczesna druga klasa gimnazjum to obecnie piąta szkoły powszechnej).

Uroczysty charakter miały również egzaminy na zakończenie roku szkolnego. Był to akt, o którym zawiadamiano specjalnie drukowanym wydawnictwem. Zawierało ono rozkład egzaminów, odezuc do prześwietnej Publiczności, a szczególnie Rodziców i program nauk z poszczególnych przedmiotów we wszystkich klasach oraz listę, z nazwiskami uczniów, którzy przez chwalebne obyczaje i znakomitą pilność zasłużyli, aby imiona ich z należytą pochwałą Publiczności wiadome były.

W Szkole Wojewódzkiej zamojskiej w 1824 r. egzamin odbywał się w dniach 26—28 lipca. Po ukończeniu Popisu Publicznego przysięgający na Popisie rozda Nagrody w książkach uczniom celującym pilnością w Naukach przy moralnym postępowaniu; poczem Rektor Szkoły odczyta Imiona i Nazwiska uczniów godnych pochwały i Promocyj; złoży w zabrany głosie podziękowanie Prześwietnej Publiczności i dawszy we względzie Religijnym i Naukowym przestępstwu uczniom wychodzącym do Uniwersytetu, do rzeczy tymże uzyskane Patenta dojrzałości. Zakończą tę uroczystość dwie mowy, jedna przez Ucznia otrzymującego Patent dojrzałości z wynurzeniem wdzięczności nauczycielom, druga przez Ucznia Klasy V, w której w Imieniu wszystkich Uczniów Szkoły złoży podziękowanie zebranej Publiczności za Icy obecność na Popisie”.

Nauka w owych latach trwała dłużej niż dzisiaj. W wakacje zaczynały się od poniedziałku tego tygodnia, w którym przypadał 1 sierpnia i trwały cztery tygodnie. Ferie szkolne trwały od 24 grudnia do 2 stycznia, dalej wolne od nauki były trzy dni ostatków i na Wielkanoc od niedzieli kwietnia do środy po Wielkanocy. Lekcje wycieczne — w lecie — trwały od środy do jedenastej przed południem i od trzeciej do piątej po obiedzie; w zimie zaś od ósmej do dwunastej i od drugiej do czwartej”.

Julian Wieniawski, wspominając swe lata szkolne w gimnazjum lubelskim (były to lata 1840—1844), opisuje, iż wówczas stosowane były jeszcze w trzech niższych klasach kary cielesne. Egzekucja odbywała się zazwyczaj w obecności dyrektora gimnazjum, wykonawcą jej był murgrabia zwany przez uczniów Herodem; wchodził on do klasy ze stołkiem w jednej ręce i pękiem różeg w drugiej i aplikował ilość batów, nie przekraczającą prawie nigdy pięciu. Cała klasa musiała, stojąc w ławkach, przypatrywać się plągom wymierzonym biednemu koleźce. Cierpienia delikwenta były łagodzone tym, że Herod biorąc od uczniów coroczny haracz składkowy w wysokości kilku rubli, zobowiązywał się uderzać środkiem młotek, a nie jej kończynami, co miało być znacznie zmniejszać. Kary te spotykały ucznia za różne przewinienia, np. za nieobecność w domu po godzinie 8

cepy chłopskie. Nie bito nim w gołe ciało, bo by je pokaleczył, ale przez ubranie, ale i tak dosyć bólu zadawał.

Bywały jednak tak twardego ciała dzieci, dodaje Kitowicz, iż wytrzymały raz kańczugiem w gołe ciało, bez naruszenia skóry. Ci, którzy mieli tak twarde ciało, byli też pospolicie tępych zmysłów: nieukownie, niechlujowie, na wszystkie przykrości wytrzymał.

Józef Rulikowski w swoich wspomnieniach ze szkół jezuitckich notuje, iż w szkołach tych głoszone szeroko zasadę, że jeden bity wart jest dziesięciu nie bitych. Rozprawiano też o tych karach cielesnych z taką rozkoszą i takim zadowoleniem, jakiego dziś niepodobna sobie wyobrazić; nie mówiono w jakim porządku w szkołach jezuitckich wykładano nauki, lecz jak bito. Starzy uczniowie szkół jezuitckich z chlubą i zaszczycem powtarzali wiele razy i w jakiej mnogości, z wytrwałością te cierpienia znosił i zdaje mi się, że te rozmowy, były faktem nasyceniem pewnych namiętności”.

Wnętrze klasy szkolnej również wyglądało inaczej, aniżeli dzisiejsze. Kajetan Koźmian, wspominając swoje lata szkolne w Lublinie, opisuje wnętrze infimy (tak nazywała się klasa pierwsza): była (to) wielka izba sklepiona moppca pomieścić 300 studentów. Między oknami stała na wyższym stopniu katedra dla profesora, przed nią ławka wypłowiałym, czerwonym sukniem wybita i dwie w poprzek takie same, po obu katedry bokach. Naprzeciw katedry, kilka podłużnych przez całą izbę ławek polerowanych woskiem, dalej w odstępie dwie lub trzy ławki stolarską robotą, na koniec pod murem długa, gruba ława na podkładach drewnianych. Pierwsze ławki zajmowali sami panice, kolejną pilności podzieleni na kurie, ławki naprzeciw katedry zasiadała uboższa szlachta, a ostatnią mieszczanie; ława zaś zajęta była przez burżów i pauperes, z których kilku było już pod zawieszistym wąsem, a ledwie czytać i pisać umieli.

Przy jednej ze ścian bocznych tej klasy znajdowała się dość ciemna komórka z małym oknem, w której wisiały batóg i dyscyplina. Komórka ta służyła do wymierzania uczniom kar, przede wszystkim w sobotę, ale również i w pozostałe dni. Każdy z uczniów miał małą książeczkę z szeregiem rubryk, np.: rozmawiał, kręcił się, śmiał się, nie umiał lekcji itd. W każdą sobotę następowała rewizja tych katalogów i „egzekucja”, do której używani byli owi uczniowie pod wąsem.

Dla pobudzenia uczniów do pilności jezuitckie stosowały... współzawodnictwo; tworzył je cały system wyróżnień, nagród i kar, zachęcający do przścignięcia kolegów w nauce, pilności i sprawowaniu się. Każda klasa dzieliła się na stronę rzymską i grecką. Rzymska uważana była za lepszą, po tej stronie zasiadała część klasy, która wykazywała się lepszymi odpowiedziami i utrzymywała się tak długo, dopóki nie została ilością dobrych odpowiedzi pobita przez stronę grecką. W tym celu każda strona na swojej tablicy zapisywała pochwały lub błędy, które w sobotę lub w ostatni dzień miesiąca były przez nauczyciela obliczane.

Szkoły jezuitckie szczególną uwagę zwracały na naukę wymowy, która z czasem przerodziła się w

Dokończenie na str. 11

Kamena str. 7

Irenusz Kossowski

Nie narzucajmy ludziom własnych upodobań i modeli kulturowych.

Z tymi modelami bywa zresztą różnie. Oto nocą, o drugiej chyba godzinie, poletały szyby w drzwiach wejściowych, ktoś właził po schodach, wrzeszczy; dom się budzi w łęk.

— Ja wam pokażę, barany, mieszczanie tacy, owacy. Ja się nazywam Serafin, a na takich, jak ja, silnych nie ma.

Po chwili kilku odważniejszych panów wychodzi do śmiałka, ten zaś niczym nie speszony, ryczy tym głośniejsze, im więcej ma widzów i słuchaczy.

— Chodź tu do mnie, jeden z drugimi! Co?! Bicie się jednego mężczyzny! Macie rację: ja znam dżudo, Ikebane, lorda Jima i karate, wy tchórze! Ja jestem działaczem kulturalnym, głupcy!

W rzeczy samej nocnym gościem okazał się „kawieć” z sąsiedniego domu wczasowego. A o działaczach kultury mówią, że to urzędnicy przeżarci rutyną zawodową?

W barze na wolnym powietrzu piją piwo chyba od 6 rano, także robotnicy, którzy w pobliżu kładą kabel elektryczny. Kładą godzinę, dwie, trzy, potem idą na piwo, potem leżą w okolicznych krzakach, czekając swoitu dnia następnego. Trzech zupełnie jeszcze trzeźwionych transportowców proponuje miejscowej obywatelce tanią sprzedaż kilku worków cementu. O czwartej po południu rozpoczyna handelek kielbaskami z różną jakis mity cwaniczek: „Zwyczajnie, kochany, a nie żadna zwyczajna, oka pan nie masz dobrego, do okulisty trzeba.” Starzy jejomność prowadzi „rzebę ludzianę patery rzezane w liście oraz bardzo dziarskie sokoly. Ndaleko sklep z pamiętkami, gdzie za dwie stówy wiodczek z mgiełką można kupić i male drewniane kot-

# Medunarodna smotra folkloru sukcesem teatru lubelskiego



— Szopka w czasie lipcowych upałów? I to upałów w Jugosławii? Przecież to jest widowisko, nierozważalnie, mogłoby się zdawać związane ze śniegiem i mrozem. W dodatku tylko na nasz spektakl, bo byliśmy jedynym zespołem zawodowym, sprzedawano bilety. Ballamy się o frekwencję. A jednak wielki podwórzec, otoczony piękną architekturą renesansową, był wypełniony do ostatniego miejsca. Na dwóch następnych spektaklach nadkomplety — mówi dyrektor i kierownik artystyczny lubelskiego Teatru Lalki i Aktora Stanisław Ochmański.

I pokazuje gruby plik pism z Zagrzebia. Każda zapowiedź czy recenzja z dużą fotografią — żaden zespół nie miał tak wielkiej reklamy, tak dużych i licznych, a niezwykle przychylnych recenzji. „Osobliwość: lalki i lalkarze z Polski. Zespół teatru lalek „Andersena” z Lublina pokazuje kolejowy spektakl — Szopkę” — to duży tytuł z dziennika „Vjesnik”. Popołudniówka „Vecernji list”: „Atrakcja i wydarzenie. — Czy i w Chocwacji nie możemy odtworzyć teatralnej tradycji lalkarskiej?”

— Wszystko zaczęło się w listopadzie ub. roku w Opolu — wyjaśnia dyr. Ochmański. — Na ogólnopolskim festiwalu lalkowym pokazaliśmy wtedy „Ludową szopkę polską” w opracowaniu Henryka Jurkowskiego. Są to autentyczne teksty ludowe z różnych stron naszego kraju. Była to praca doktorska autora, do której — w interesie naszego teatru — namawiałem go także. Jak to w noworocznej szopce — częściowo aktorzy występują na żywo, częściowo grają za pośrednictwem lalek, które projektował Wacław Kondek. Muzykę skomponował lub dobrał Bogumił Pasternak.

— No, ale od Opolu do Zagrzebia droga daleka...

— Rzeczywiście, jechaliśmy w jedną stronę dwa dni autokarem, zafundowanym przez władze wojewódzkie. Otóż w Opolu byli wyśmienicy z Jugosławii, którzy zresztą w kilkunastu krajach poszukiwali zespołów amatorskich, aby je zaprosić do siebie na doroczny międzynarodowy przegląd folklorystyczny. Wprawdzie jesteśmy zespołem zawodowym, ale jugosłowiańscy goście uznali, że nasze widowisko jest tak bardzo autentyczne i ciekawe, że otrzymaliśmy zaproszenie na te imprezy, która nazywa się V Medunarodna smotra folkloru.

— W „Kamieniu” pisaliśmy już kilka razy, że wbrew dość powszechnemu mniemaniu teatr lalek

nie jest tylko dla dzieci. Czy ten przesąd jakoś zanika?

— Na 24 zawodowe teatry lalkowe w Polsce tylko kilka, niestety, wystawia sztuki dla dorosłych. U nas „Plaszcz” Gogola szedł ponad 20 razy, więc chyba przelamaliśmy pierwsze lody. „Szopkę” mogą oglądać zarówno dzieci jak i dorośli, ale nie tylko w roli osób towarzyszących. Sztuka lalkarska siega starożytnego Rzymu, a nawet starożytnych Chin. Schiller swoje słynne pastorałki też opierał na inscenizacji szopkowej. Staropolski turowi, a także krakowski lalkonik to również ta sama kategoria sztuki.

— Myślę jednak, że aktor w teatrze lalkowym musi być szczególnie entuzjastą swojego zawodu, a raczej powołania. Tak rzadko wiadać go na scenie, oklaski, nawet te najbardziej gorące, kierowane są do osób raczej anonimowych. Aktor lalkowy ma więc chyba prawo czuć się jakby uboższy w porównaniu z aktorem dramatycznym, operowym czy operetkowym, nie mówiąc już o estradzie. W dodatku część publiczności uważa, że w teatrze lalkowym aktor, siedzący pod sceną czy obok niej, po prostu czyta rolę i na tym koniec... — Nic bardziej fałszywego. Przygotowujemy każdą sztukę identycznie jak w teatrze dramatycznym. Wcale nie czujemy się ubożsi, może w pierwszych latach po wojnie, teraz na pewno nie. Nasz aktor tak samo uczy się roli na pamięć jak każdy inny. I musi ją przetrwać tak samo, a może nawet więcej. Punktem wyjścia jest dla niego nie tylko tekst, ale również forma plastyczna lalki, z której musi narodzić się ruch, odpowiadający tekstowi, wyglądowni lalki, całej akcji. No i ogólnym wyobrażeniem młodej, najczęściej, widowni, która na podstawie opowiadanych w domu bajek czy ilustrowanych książeczek często wyrobiła już sobie jakieś pojęcia o przedstawianych postaciach. I trzeba pamiętać o tym, że — wzbudzając u dziecka niechęć do jakiejś złej postaci — nie wolno młodego widza w żadnym wypadku przerazić. Tu, oczywiście, nie chodzi o stratę jednego czy kilku widzów. Naszym podstawowym zadaniem jest przecież wychowywanie i bawienie dzieci. Nasz aktor musi być dobrym psychologiem i jeszcze lepszym pedagogiem. A swoją sztukę aktorską, wychowawczą rolę sztuki, wszystkie elementy zabawy musi przekazać zarówno swoim głosem jak lalką, którą animuje. Chyba nawet nie się wyraziłem. Na podstawie tekstu i formy plastycznej lalki aktor komponuje głos i ruch. Jest to więc praca jak najbardziej twórcza.

— A wciąż raczej anonimowa...

— My już tego nie odczuwamy. Na naszych scenach lalkowych jest wiele tego, co nazywamy kreacjami aktorskimi. Prawda, że pozostaje

to raczej w świecie lalkarskim. Prawda, że do naszego teatru chodzi się nie na aktora, a na sztukę. Ale gdy jedna rola jest zagrana fałszywie, odium wśród widzów spada na cały zespół. Nasz aktor musi być szczególnie wyczulony na reakcję widowni i ewentualnie korygować swoją rolę. Tak samo jak w każdym innym dobrym teatrze — nieraz na każdym spektaklu, zależnie od reakcji widowni, nawet tej, którą da się odczuć tylko półczytelnikiem. To nie jest łatwe. I może właśnie dlatego gościmy na naszej scenie co wybitniejszych aktorów z „normalnych” teatrów. Grał u nas Machulski, grał Aleksy, w ostatniej „Szopce” Josicz.

— Kieruje pan naszym teatrem już od 12 lat. A przedtem?

— Jestem z urodzenia łódzianinem. I w Łodzi przez siedem lat byłem aktorem w teatrze lalkowym „Arlekin”. Uczyłem się tej sztuki pod okiem znakomitego reżysera o sławie międzynarodowej Henryka

Bryla. Ale mistrz wychował całą gromadę uczniów i gdy zaczęło się przy nim robić ciasno, rozglądałem się za inną pracą. Ministerstwo Kultury i Sztuki zaproponowało mi wtedy objęcie kierownictwa teatru lubelskiego. Od pierwszej chwili spotkałem się tu z dużą życzliwością władz kulturalnych, a w pierwszych dniach i tygodniach pilotował mnie bardzo serdecznie ówczesny zastępca kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN, dzisiaj dyrektor Estrady, Wiesław Kryński. No i — aby powiedzieć bez enfazy — polubiłem Lublin i Lubelszczyznę.

— W „Szopce”, za którą otrzymaliście w Zagrzebiu niezwykle gorące oklaski, dyplom i piękny wieniec laurowy — występy nie były punktowane, chodziło o przegląd — są teksty z różnych województw, a nawet z dramatu staropolskiego. A co z Lubelszczyzną?

— W scenie IV kolejnicy śpiewają taki tekst, odnaleziony w jakichś starych szpargałach przez pana Jurkowskiego:

Gdy król Herod wojnę wydawał  
Wszystkich dzieciątek wycinał  
Kazał.

Maryja się dowiedziała,  
Ze swym synatkiem uchadzała,  
Uchadzała.

Nadybała chłopka w polu  
robiący,

Jarek pszeniczkę z garści siejący.  
„Siejże, chłopku, w linie moje,  
Jutro będziesz zbierał swoje,  
Zbierał swoje.”

Nie powiadał chłopku, że ja  
tędy sędzi,  
Maleńkie dzieciątko na ręku  
niosła.

Zydowie się dowiedzieli  
Za Maryją pobieżeli,  
Pobieżeli.

Nadyball chłopka w polu  
robiący  
Jarek pszeniczkę w snopy  
wiążący.

Dopomóżcie — chłopku miły,  
Czyż nie widział tu Maryi,  
Tu Maryi?

Widziałem Maryję, jak tędy  
szła  
Jak się ta pszeniczką z garści  
siejała

Loni, loni, nie dogoni,  
Choćby gonili we sto koni,  
We sto koni.

— A melodia?

— Na najbardziej autentyczną melodię, choć tekst był już nieco zmieniony, nasi aktorzy natknęli się w okolicach Dominowa, tuż pod Lublinem. Myślę, że uratowanie tej melodii od zapomnienia to również pewne osiągnięcie naszego teatru.

Rozmawiał (dost.)



„Ludowa Szopka Polska” w oprac. Henryka Jurkowskiego i reżyserii Stanisława Ochmańskiego. Śmierć — Alina Sternik, Herod — Fred Kosmala. — Fot. Wanda Parys

## Jubileusz Opery Wrocławskiej

Trwają przygotowania do uroczystych obchodów 25-lecia pierwszej placówki kulturalnej Dolnego Śląska — Opery Wrocławskiej, która zainaugurowała swą działalność 8 września 1945 r. inscenizacją opery „Halka”. W roli Halki wystąpił pierwszy dyrektor nowej opery — Stanisław Drabik, w roli Halki Franciszka Płatówna.

W dniach jubileuszu, w listopadzie br. wystawione zostaną w Operze Wrocławskiej dwie polskie opery: „Halka” — Stanisława Moniuszki (w nowej inscenizacji) oraz „Pomsta Jontkowa” — Bolesława Wallek-Walewskiego. Obie opery reżyseruje Zygmunt Billski. W okresie jubileuszu ukaze się również album pamiątkowy.

8 września br. — w historycznym dniu, w którym przed 25-ciu laty zainaugurowana została działalność Opery Wrocławskiej, odbędzie się na scenie tej opery galowe przedstawienie moniuszkowskiego „Straszny Dwór”.

Warto przypomnieć, że w ciągu mijających 25 lat Opera Wroclawska wystawiła 137 premier, dając łącznie 5964 przedstawienia, na których obecnych było ponad 4 miliony widzów. Znaczną część repertuaru Opery Wrocławskiej stanowią dzieła kompozytorów polskich i słowiańskich.

**W** ROKU 1959 Lublin posiadał 7500 abonentów telefonicznych. W roku 1970 jest ich już 16500.

Skok duży, ale nie ma się czym chwalić. W gęstości sieci telefonicznej i ilości aparatów na tysiąc mieszkańców Polska zajmuje jedno z odleglejszych miejsc w tabelach europejskich. Przy czym poszczególne rejony kraju nie są jednakowo zasobne w te urządzenia. Najwięcej mają ich województwa wysoko uprzemysłowane oraz duże miasta. Najmniej w wschodnich rejonach kraju. W województwach lubelskim i kieleckim, podlegających Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Lublinie, jest łącznie 90100 abonentów. Jeszcze w roku 1959 było ich tylko 34626; w samym roku ubiegłym przybyło ponad 16 tys. Jest to jednak niewiele wrażywszy obszar i zaludnienie obu województw — prawie 4 mln mieszkańców.

37 procent wsi w woj. lubelskim i 41 proc. w woj. kieleckim nie ma ani jednego aparatu, chociaż przez część z nich przebiegają linie telefoniczne. Od pewnego czasu tworzy się w takich wsiach skrzynki alarmowe na słupach; klucze od nich mają sołtysi lub inne upoważnione osoby. Skrzynka taka może służyć jedynie do wezwania straży pożarnej, pogotowia czy milicji, lecz nie można z niej prowadzić normalnych rozmów. A są i wsie oddalone o wiele kilometrów od linii telefonicznych. Tam wezwanie pomocy np. do chorego opóźnia się o czas konieczny na dotarcie do najbliższego telefonu czynnego całą dobę. Jeśli jest to suche lato — pół biedy, w każdej wsi ktoś ma motocykl, lecz jeśli przyjdą jesienne roztopy czy zimowe zawieje — nielud-

no sobie wyobrazić ile cennego czasu ucieka.

Telefonia polska rozwija się w szybkim tempie, ale postęp ilościowy i jakościowy następuje także i w innych krajach, toteż dystans dzielący nas od nich zmniejsza się powoli. A przecież zmiany są widoczne stale. Przed rokiem wprowadzono pełną automatyzację połączeń Lublina z Warszawą i odwrotnie. Abonent lubelski nie musi zamawiać rozmowy w centrall międzymiastowej. Nakreca numer 02-22, słyszy już sygnał centrall miejskiej w stolicy i z kolei nakreca numer warszawski. Na razie jest to możliwe w godzinach popołudniowych i nocnych. Liczniki wybijają za te rozmowy taką samą taksę jak przy łączeniu ręcznym. Zautomatyzowanie rozmów przyniosło lepsze wykorzystanie magistrall telefonicznej Lublin — Warszawa. Przeprowadza się na niej o wiele więcej rozmów niż dawniej, co w rezultacie poczcie daje zwiększone wpływy pieniężne, a jej klientom zadowolenie z szybkiego połączenia. W latach najbliższych abonentci uzyskają kolejno także zautomatyzowane połączenia z miastami wojewódzkimi.

Perspektywiczne plany rozwojowe resortu łączności przewidują całkowitą automatyzację wszystkich centrall telefonicznych, tak aby abonent z najdalszej nawet wsi i o każdej porze mógł wykrecać numer centrall zamiejscowej w pobliskim miasteczku, następnie centrall powiatowej, potem centrall lubelskiego węzła komunikacyjnego, wreszcie zaś by łącząc się z innymi powiatami czy województwami, a nawet z zagranicą. Rok 2000 nie jest przecież znów tak odległy — a raczej nie mieści się w naszych wyobrażeniach pańienka w centrall, siedząca ze słuchawkami na uszach i przekładająca końcówki sznurów z

gniazdka do gniazdka. Na razie mamy jednak rzeczywistość anno 1970 i pańienka ze słuchawkami siedzi w jednej z centrall miejskich Lublina, na osiedlu LSM, i ręcznie łączy 400 abonentów.

Począta w ostatnich latach wybudowała w Lublinie kilka centrall: na Kołminku (numery abonentów zaczynają się na 4), Wieniawie (3) i Tatarach (6) oraz zmodernizowała Śródmieście (2). Podlubelski Świdnik traktowany jest jako jedna z centrall miejskich, dzwoni się doń z Lublina bez pośrednictwa międzymiastowej, po prostu na numer rozpoczynający się cyfrą 1, z tym, iż liczniki wybijają inną taryfę. Nowa centralla dla LSM i sąsiednich dziel-

nic ma sygnał, lub też sygnał jest, lecz po nakreśnieniu numeru w aparacie następuje cisza.

Od roku instaluje się automatyczne centrall w niektórych podlubelskich miejscowościach. Bystrzeżowice, Ciecierzyn, Dąbrowica, Głusk, Jabłonna Lub., Jastków, Łuszczów, Wilczopol, Wólka Lub. i Zemborzycy, w których nie tak dawno jeszcze telefon był czynny na ogół do godz. 15, teraz mają przez całą dobę połączenie zarówno z abonentami tych samych miejscowości, jak też i poprzez centrall automatyczną w Lublinie dosłownie z całym światem.

Automatyczne centrall czynne całą dobę i połączone z centrallami miast powiatowych mają mieszkańcy okolic Zamościa, Chełma, Białej Podlaskiej i Puław. W latach przyszłych będą je otrzymywać inne miejscowości położone w sąsiedztwie większych miast powiatowych. Jednakże nie miejscowości największe, lecz najmniejsze. Nasz przemysł produkuje bowiem dwa typy automatycznych centrall większych „AG” — o 25 gniazdkach i o 50 gniazdkach. Jeśli więc abonentów jest gdzieś więcej, takiej centrall zainstalować nie można. Postulaty poczty, by produkować centrall „AG”-ostu i więcej gniazdek, nie odnoszą skutku. Takie małe wiejskie centrall instaluje się w pierwszym rzędzie w pobliżu tych miast powiatowych, które same mają centrall zautomatyzowane, aby przez to tworzyć elementy przyszłej ogólnokrajowej automatycznej sieci łączności. Na razie jednak w znacznej części miast powiatowych w woj. lubelskim, żeby otrzymać połączenie miejscowe, trzeba energicznie pokręcić korbką i czekać na zgłoszenie się telefonistki. W roku bieżącym zautomatyzowany zostanie miejski ruch telefoniczny w Tomaszowie, w 1971 — w Krasnymstawie, 1972 — Lubartowie, 1973 lub



nie jest już budowana. W niedalekiej przyszłości rozpocznie się wznoszenie centrall na Kalinowszczyźnie. Do końca roku 1971 Lublinowi przybędzie jednak zaledwie tysiąc aparatów. Przeważająca część podań o telefon nie zostanie załatwiona. Tu trzeba jeszcze wyjaśnić, że jeśli nowa centralla ma np. 1000 gniazdek, to można do niej podłączyć nie więcej niż 900-920 numerów. W przeciwnym przypadku centralla będzie przeciążona. Efekty takiego przeciążenia już są zauważalne w Lublinie: podnosi się słuchawkę i

1974 — Hrubieszowie, 1975 — Bilgoraju. Automatyzacji we wszystkich miastach powiatowych można się spodziewać do roku 1980, a co za tym idzie i automatycznego połączenia tych miast z Lublinem, a niektórych i między sobą.

Obecnie tylko Zamość i Białą mają automatyczne połączenie z Lublinem. W roku 1971 otrzyma je Chełm, a w roku 1973 — Puławy (te ostatnie także bezpośrednio z Warszawą).

Telefonizacja wsi nie przebiega niestety w przewidzianym tempie. Z powodu niedostatku słupów i przewodów jedynie około 120 wsi rocznie otrzymuje telefony. Wydaje się jednak, że szybki rozwój wsi i przechodzenie jej na nowoczesne metody gospodarowania przyczynia się do szybszego postępu także w łączności przewodowej.

W województwie kieleckim, z uwagi na istnienie dwóch równorzędnych dużych ośrodków miejskich, buduje się dwa wielkie węzły telekomunikacyjne: w Kielcach i Radomiu. Kielce mają obecnie 7415 abonentów, w roku przyszłym otrzymają 600 nowych, zaś w roku 1972 — 3 tys. w budowanej obecnie centrall Czarnów. Radom, większy terytorialnie i ludnościowo od stolicy województwa, ma 9480 abonentów. Na przełomie lat 1972/1973 nowa centralla w dzielnicy Gliniec do miasta 2 tys. dodatkowych numerów. W obu tych miastach wznoszone są obecnie automatyczne centrall międzymiastowe. Budowa i montaż zostaną zakończone około roku 1975 i wtedy nastąpi pełna automatyzacja rozmów pomiędzy Kielcami i Radomem oraz innymi miejscowościami włączonymi do tych węzłów. Na razie zarówno Kielce jak i Radom mają automatyczne połączenia z Warszawą. Radom także z Ostrowcem Świętokrzyskim i częściowo Zwoleńskiem. (Wiśń).



**Z**DARZYŁO się, iż pewnego dnia po prostu umarłem. Czynie to wyznaczenie z nutą zafascynowania, ponieważ jako człowiek skromny, nie lubię mówić o sobie, nawet pod kątem przełomowych momentów w życiu.

Po śmierci doznałem podobnego wrażenia, jakie odnosi nieotrząskany pasażer podczas pierwszego wjazdu kolejką na Kasprowy przy mijaniu słupów podtrzymujących liny. A zatem towarzyszyło mi odczucie gwałtownego spadania w dół i lekkiego lechtania w krtań. Będąc lechtany i opadając na wznak, uderzyłem pod koniec gwałtownego lotu o coś bardzo twardego i wyboistego. Znalazłem się szczęśliwie znowu wyciągnięty na łożku (moja ulubiona pozycja), tak jak w momencie odejścia z ziemi. Łóżko okazało się niestety łożem Prokrustowym — względnie Madejowym — nie ręczę za dokładność spostrzeżeń. Fakt ten przyjąłem nawet bez zdziwienia, ponieważ miałem zawsze nosa do swoich pozagrobowych losów i przeczuwałem to od dawna. Pod cienkim prześcieradłem szczyrzyły zęby jakies monstrualne splaszczone kołce, uwierające ciało. Uczulem się fakirem zaplątanym w zaświaty. Z długo wstrzymywaną radością, że mogę nareszcie uchodzić za kogoś innego, niż byłem w rzeczywistości, zacząłem tarzać się po Prokrustowym łożu. Tarzanie uruchomiło ukryte dźwignie kołców. W takt kołysań mego ciała nastąpiło gromowe uderzenie metalu w napiętą gumę potężnego walca z nawiniętym papierem. Było mi bardzo głupio, ale nie mogłem zaprzeczyć: zleciałem na legowisko wyמושzone klawiszami olbrzymiej maszyny do pisania. Wpadłem więc w stary nawyk.

— To pańskie — powiedział człowiek w wieczorowym garniturze z czerwonymi wylogami. Człowiek wszedł przez zamaskowane drzwi, ukryte w stalowej ścianie i wskazywał palcem taśmę zapisanego papieru szerokości zakopiańskiej szosy.

— Znowu nowy pański utwór — powiedział z sarkastycznym uśmiechem drugi podobnie ubrany, który również dostał się do wewnątrz tym samym wejściem.

Tylko trzeci zjechał w szalonym tempie skądś z góry na żelaznym łańcuchu. Był blady jak student przed egzaminem i pozował na dostojnika. Pysznili się bigbeatową malaturą pstrych fatalaszków na sobie w gamie dzięki purpurę. Spojrzył na mnie przez potrójne sprężone okulary, przytwierdzone do hełmu, jaki noszą pletwonurkowie. Zajął miejsce po środku tamtych osobników, którzy zdążyli tymczasem usadowić się na podium za stołem, i powiedział krótko:

— Sądźmy pana.

Zrobiło mi się trochę głupio, bo nie lubię zabawy w sądy, niemniej zapytałem:

— Jakim prawem?

— Piekelnym, kochany — odpowiedział przewodniczący. — Jest pan przecież na dnie tej instytucji — po czym sięgnął po butelkę i wychylił sporą szklankę.

— A to materiał dowodowy — skinął głową asesor piekielny w stronę maszynopisu. — Jesteś, przyjacielu, niepoprawny. Nawet tutaj nie przestajesz młodzić swoich rametek.

Perfidna maszyna istotnie pisała sama jak szalona, obciążając bezprawnie moje zabazgrane konto i stanowiąc podporę oskarżeń.

— Pisanie było rzeczywiście moją przyjemnością na ziemi — powiedziałem bez ogródek.

— Ale zmorą odbiorców o wyrobionym smaku — wpadł mi w słowo asesor z prawej. — Nie trzeba było popełniać satyr i humoresek.

— Tak samo one dobre, jak inne gatunki — ripostowałem.

— Wypełnione płaskimi pomysłami, nędznymi chwytami i ograna tematyką. Rasowy pisarz, przyjacielu, kiedy poczuję po raz pierwszy, że swędzi go pióro do humorystyki, popelnia natychmiast samobójstwo — powiedział sentencjonalnie przewodniczący.

— A ja właśnie umarłem — podchwycyłem.

— To tak, jak bym popełnił samobójstwo.

— Jeszcze jeden marny dowcip satyryka — przyciął gorzko asesor.

— Jakie były poprzednie jeśli wolno wiedzieć? — zapytałem zirytowany niesprawiedliwością.

— Choćby sam pomysł uruchomienia tej całej ogranej scenki z sądem piekielnym i z naszym w niej udziałem, którą pan chce uszczęśliwić czytelnika. Już starożytni pisali o hadesie, tartarze...

W tym momencie powstał na moje szczęście spór proceduralny pomiędzy przewodniczącym a asesorem podkopującym sensowność scenki.

— Kolega asesor nie może kwestionować sensowności sądu piekielnego nad naszym satyrykiem, skoro sam w nim uczestniczy — zwrócił uwagę przewodniczący. — W przeciwnym razie kolega zdyskredytowałby się bezpośrednio, uznając śmieszność sytuacji, w której się znalazł dobrowólnie.

Ponieważ trzeci sędzia wystąpił z problemem sensowności zależności życia i literatury w ogóle, snując teorię o „piętrości odzwierciedlającej odbiór życia w stosunku do odbiór pochodzących od tych odbiór w sztuce”, zacząłem spokojnie obgryzać naszkórki przy paznokciach (moje ulubione zajęcie na ziemi).

Sędziowie pomocniczy pokrępił się błyskawicznie szklankami czegoś przezroczyściego.

Korzystając z ogólnej nieuwagi, postanowiłem na wszelki wypadek wywyżczyć jakieś boczne wyjście z pułapki piekielnej. Kiedy wszakże zbroilem kilka kroków, osadził mnie głos przewodniczącego:

— Jest pan, kolego Lenech niepoważny. Stąd się w ogóle nie wychodzi. — I to jest główna pańska przewina, błędem i przekroczeniem — zapalił się prokuratorskim uniesieniem osobnik z lewej. — Był pan zawsze niepoważny. Asesor z prawej rzucił o pulpitu plikiem akt, oderwał jedną kłapę od marynarki na znak protestu i zasłonił tragicznie twarz rękami. — Można pisać byle co, niezrozumiałym językiem, pretensjonalnie zawijasy i tasłmowce wynurzenia, byle zachować niewzruszoną powagę i pozę tragiczną! — Asesor odjął ręce od twarzy i ukazał na niej bezgraniczny smutek. Ten wyraz smutku odsłonił głośniejsze pokłady jego duszy, jego dusza zaś odsłoniła mi właściwe cele pisarstwa zanurzonego w kilku piętrowych dnach. Zrobiło mi się po raz pierwszy w piekle nieswojo.

— Ejże, czy przypadkiem sędzia nie miał odrobiny racji?

Dla zachowania twarzy spróbowałem nie szczerze bronić się:

— Nie zawsze dało się osiągnąć idealne założenia groteski poprzez widzenie grozy świata i ostateczne unicestwienie. Ja panów rozumie, tu właśnie rządzi prawa takiego unicestwienia i wasze wymagania są na miejscu. Ale gdzież mnie, marnemu śmieszkiowi, sięgać było po takie szczyty, chciałem powiedzieć — dna, dna piekielne, i to jeszcze potrójne, jak na dobrą prozę przystało... Moja nieoczekiwana skromność w obronie zbliła chwilowo z pantafelku sędziów. Zaczęli się szeptać gorączkowo naradzać. Widocznie podjęli decyzję, bo przewodniczący rozluźnił zawiasy potrójnych okularów i oparł je na hełmie, odsłaniając coś w rodzaju rozjaśnionego obłęza i rozpozgodzenia oczu.

— Kolega sędzia nie dość dokładnie się wyraził. W zasadzie nie jesteśmy przeciwni potrzebie istnienia humoru nie prowadzącego natychmiast do samounicestwienia świata, byle tylko za niefrasobliwym śmiechem krył się ryk lwa gotowego do skoku. Pan rozumie: satyra, o ile już musi istnieć, powinna być krwawa i szarpiąca. A pan nam tu ze świergotem ptaszka. Powinien był pan zgładzić tego bezsensownego ptaszka świergotącego pańskim głosem, zdusić go w sobie.

— Tak, zdusić go — poparł asesor z lewej.

— Najlepiej było odciąć ptaszkiowi głowę i za-

stosować przeszczep lwiej głowy do reszty korpusu.

— Kolega zapomina o pazurze. Literatura bez pazura jest kukulcza. Oszukańcza — stróżował sędzia z prawej. — Kukulcze jaja psimactwa.

— Oczywiście — podniecał się przewodniczący, któremu spadła z powrotem przyłbica okularów. — Kukulcze mógł pan przypisać bodaj pazur, aby nim drapać, orać, rozdlubywać do krwi. O, krwawa satyra zwróciłaby na pana uwagę. A tak, zginął pan dla świata i dla zaświatów.

Byłem tak ogłuszony argumentacją trybunału, że powoli odeszła mnie ochota do samoobrony. Mogłem przecież zauważyć, że do zalęsniej konsumpcji surowego mięsa trzeba było być chętnym ofiarą, która by bez protestu pozwoliła się konsumować, ale nie oderwałem się w ogóle. Znalazłem w melodii głosu moich oskarżycieli jakąś cichą, niedorzeczną satysfakcję. Było mi dziwnie słodko i przyjemnie, że tyle szumu z powodu mojej osoby.

# Dziwna historia

Romuald Lenech

Przewodniczący oderwał oba rękawy swego garnituru i rozgniół w palcach szklankę. Podniósł się na palcach i wzruszonym głosem formułował — jak przypuszczałem — konkluzję:

— Czekaliśmy daremnie na objawienie się w panu iskry talentu, co mówię, gwałtownej iskry geniuszu, której żąda się w naszej instytucji od humorysty. To wielki przywilej dla kategorii śmieszki, że od innych niekiedy, a od was zawsze oczekujemy tej iskry... Czekaliśmy na Godota. Prawdę mówiąc, nikt z nas dokładnie nie wyobraża sobie, jak miałby wyglądać ten Godot. Zupełnie wystarczy — że domagamy się jego przyjścia i zawsze nam tak przykro, że go się nie możemy doczekać.

Przewodniczący wychylił duszkiem trzy szklanki płynu. Nie podejrzewam, aby płyn

miał charakter wyskokowy, faktem jest jednak, że przewodniczący zachwiał się na nogach i pchnął niebezpiecznie do przodu stół przedziałny.

— To, co psales, człowieku — zwrócił się do mnie z pretenją rozdzierającą serce — miało smak gliny z otrębami. A gdzie paląca podniebienie rozkosz nieznaną potrawę? Niechby to było ananasek wychodowanym na swojskiej glebie, o smaku razowca, niechby trzeszczało w zębach jak piasek z makiem i dało się równocześnie lykac jak kisiel ziemniaczny, podlany ambrozją. Niechby to było potrawą i nie było nią zarazem w ogóle, nektarem i kością stojącą w gardle, eksplozją rakiety i pocałunkiem ciszy. Niechby to było satyrą i w ogóle nią nie było. Zeby tego nie mógł nikt zrozumieć, strawić, dotknąć, powąchać, przeczytać! Zeby to było spełnieniem naszego prywatnego snu. Snu! rozumie pod sądny! — uniósł się prokurator — sędzia. — Pańska wina i beczelność polega na niezrozumieniu naszego prywatnego snu o literaturze!

Po tych słowach wszyscy sędziowie powstali z miejsc, nadęli się niesłuchanie i oświadczyli dobitnie, że jestem na wieki potępiony.

Byłem tak pogrążony w rozpamiętywaniu motywów wyroku, że nie zauważyłem, kiedy z zamaskowanych drzwi za podium wylonili się postacie w mundurach i w czapkach zapiętych pod brodą. Postacie, w których bez trudu domyśliłem się policjantów, podeszły do sędziów i założyły im spokojnie kajdanki na ręce.

— Znowu alkohol, znowu zabawa w piekło i znowu uzurpacje sądu! — powiedział z wyrzutem komendant. — Piędziesiąt lat ostrego czyścica poleci tym razem jak nic.

Domniemani sędziowie popuszczali głowę i pozwalili się wyprowadzić jak baranki.

— Dziwna historia — pomyślałem. Ostatniego z konwojujących policjantów odważyłem się zapytać z nadzieją w głosie:

— To może tu w ogóle nie piekło?

Policjant uśmiechnął się z wyrozumiałością:

— Zwykły czyścic i tyle. — A ci — wskazał ręką na moich oskarżycieli — niepoprawni dowiepniesz, zgrywający się niebezpiecznie na zółłów.

— Więc sądu nade mną nie będzie? — zapytałem.

— Niech pan nie będzie naiwny, przyjacielu humorysto — położył mi rękę na ramieniu stróż sprawiedliwości. — Skoro się tu pan dostał, nie uniknie pan tej konieczności.

— Ciekaw jestem sędziowskiego składu? — zagadnąłem gorączkowo.

— Może pan go zobaczyć choćby natychmiast. — To mówiąc pchnął jakieś inne, nie zauważone jeszcze przeze mnie drzwi i wskazał ręką tłum ludzki wypełniający salę.

Przyjrzałem się najdokładniej i odetchnąłem głębiej: byli to wyłącznie moi czytelnicy.

— No to chyba jeszcze nie tak najgorzej — pomyślałem i zagwizdałem sobie lekko myślnie.



Fot. Lucjan Demidowski

## Dlaczego toną?

**K**SIEGARNIE nasze są ubogie w fachową literaturę sportową. Znalazłem natomiast w Lublinie aż 3 różne podręczniki o pływaniu. Niestety, pływania nie można nauczyć się z książki. Trzeba je ćwiczyć w wodzie. Ale gdzie? Oto jest pytanie. Największy w Lublinie basen kąpielowy przy ul. Lubomelskiej, na który przez całe lata padały gromy, że jest zaniedbany, nie zagospodarowany, że brudna w nim woda itd., nareszcie przestał być tematem satyrycznych notatek prasowych. Po prostu zamknięto go. Zamknięto na polecenie Miejskiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej. Bo był już za brudny, za bardzo zniszczony. Kąpiel w tym basenie stała się za dużym ryzykiem.

Remontować zaś tego basenu już się nie opłacało. Za kilka lat ma być prowadzona tamtędy nowa, wielka arteria przelotowa. Remont byłby bardzo kosztowny — a szkoda wywalać pieniądze na kilka lat. Nie zamierzalibyśmy się. Oczywiście basen mógłby funkcjonować nadal, po drobnych zabiegach kosmetycznych, gdyby był przez minione lata normalnie konserwowany. Ktoś docieklawszy być może zapyta, dlaczego nie był konserwowa-

ny? Takie pytanie postawić może dla poszukiwania winnych zamieśdanka, nie pomoże nam jednak wykopać się.

Lublin ma obecnie ponad dwa razy tyle mieszkańców co to roku 1939 — natomiast miejsc do kąpeli nie przybyło. Choć bowiem zbudowano jeden basen przy Liceum Staszica, a drugi na Bronowicach, to obok basenu przy Lubomelskiej odpadł przed kilku laty basen na zapleczu ul. Cichej i ul. 3 Maja — do którego dochodziło się przez podwórze willi, zajmowanej obecnie przez „Kurier Lubelski”.

Przy kilku budynkach w śródmieściu i na przedmieściach były małe, prywatne baseniki. Dziś albo ich nie ma, albo są zdemontowane lub nieczynne, jakby w obawie, że w naszym ustroju nie godzi się mieć prywatnego mini-basenu, choć godzi się mieć prywatny samochód czy prywatną zagłówek.

Do tego wszystkiego trzeba dodać, że Bystrzyca i Czerniejówka, niegdyś służące do kąpeli, obecnie są tak brudne, że nie ma mowy nawet o brodzie w nich. Nie ma też obecnie stawów w Abramowicach, ani nawet małego naturalnego zbiornika wodnego na Stawisku, które w ciepłe dni służyły amatorom kąpeli.

Parę lat temu podjęto w Lublinie decyzję budowania w całym społeczeństwie co roku jednego basenu. Jak dotychczas wyszły z tego tylko jeden, na Bronowicach, niekompletny jeszcze, choć już z braku laku używany. Drugiego na razie nie widać. Sytuacja jest więc katastrofalna. Na basenie przy ul. Grottera taki tłok, iż część przychodzących tam osób nie kąpie się, a jedynie opala i bierze prysznic na powietrzu.

Naturalnie, mamy wspaniałe jeziora, motoryzacja rozwija się, w dni powszednie łatwo do nich dojechać nawet publicznymi środkami lokomocji.

Jeziora i rzeki leżące w promieniu do 50 km od Lublina w upalne dni są oblegane. Niestety, coraz spotyka się tablicę z napisem: „Kąpiel wzbroniona”. Ludzie szukają jednak ochłody i wypoczynku w wodzie, a nie znajdując kąpielisk strzeżonych, zagospodarowanych, kąpią się tam, gdzie jest trochę względnie czystej wody i trawistego lub piaszczystego brzegu. I topią się.

Prasa codzienna w każdym niemal numerze przynosi tragiczne informacje znan wód. Topią się dorośli, głównie jednak młodzież i dzieci, czyli ci, którym trudniej pannać nad swymi impulsami, a którzy potrzebują najwięcej ruchu.

Często można słyszeć opinię, że toną i najlepsi pływacy. Nieszczęśliwy wypadek może zdarzyć się każdemu. Praktyka dowodzi jednak, że większość ofiar kąpeli nie umiała pływać lub pływała bardzo słabieńko, ledwie, ledwie. Człowiek umiejący jako tako utrzymać się na powierzchni wody, czy potrafiący przepłynąć 20—50 m uważany jest przez otoczenie niemal za rybę. Rusza więc śmiało na głębiny, przecenia swe siły i idzie na dno. Obserwuje się nad wodami rozpaczyliwy brak higieny pływania. Ludzie idą pływać prosto od gry w siatkówkę, prosto z nagrzaną plażą, prosto od posiłku, czy nawet po kielichu. Wycieczki zakładowe wyjeżdżają na ogół o 6—7 rano. Ludzie, którzy w sobotę zabawili się dłużej, czy zasiedzieli przy telewizorze, a światem zerwali się niewyspani, zmęczeni, idą do wody. Nic dziwnego, że bywa to dla wielu ostatnią kąpiel w życiu.

W roku ubiegłym wydano w Lublinie niecałe 2 tys. kart pływackich. Dla uzyskania takiej karty trzeba niewiele: w dowolnym stylu i czasie przepłynąć 200 m, kilka metrów pod wodą i skoczyć do niej z niewielkiej wysokości. Niewiele — ale przecież człowiek, który to potrafi, powinien dać sobie radę nawet z naplym skurczem mięśni i dopłynąć te 100 m do brzegu, czy też utrzymać się na wodzie do czasu gdy przyjdzie pomoc. Nie jest jednak tajemnicą, że wystarczy dobrze się pokręcić, a zawsze znajdzie się instruktor o miłym sercu, który wyda kartę osobie zdolnej do

przeplnięcia najwyżej 50 metrów. Warto byłoby sprawdzić, czy tegoroczne ofiary kąpeli miały wydane pływackie i przez kogo wydane. Jednak tak czy inaczej, niecałe 2 tys. kart pływackich rocznie w czteremilionowym mieście to bardzo mało. Utrzymując to tempo, trzeba by ponad stu lat, aby wszyscy mieszkańcy zdobyli podstawowe umiejętności pływackie.

Człowiek współczesny, przemęczony pracą czy nauką, szuka wypoczynku i zdaje sobie sprawę z watorów kąpeli w wodach otwartych. Tablicami zabraniającymi kąpeli nie odepchniemy ludzi od brzegów rzek i jezior. Jedyną drogą jest uruchomienie większej ilości kąpielisk w miejscu zamieszkania, użycie pływania i umożliwienie utrwalania tych umiejętności. Przed 15 laty zbudowano w Lublinie fontannę. Kosztowała milion złotych. Było to przedsięwzięcie przesadnie drogie i nie przyniosło oczekiwanych efektów. Fontanna, nawet latem, nie działa dłużej, niż 3—4 godziny dziennie. Gdyby to zależało ode mnie, przykryłbym otwory w dnie gęstą kratą i w tym czasie gdy fontanna nie przyska, zezwolilibym na brodzie w jej zbiorniku dzieciom. Brak nam jest też bowiem zupełnie w Lublinie brodzików, które powinny być dla dzieci pierwszym krokiem do wejścia na basen.

R. W.

# Szkola czy „antyszkoła”?

Dokończenie ze str. 1

nieć dydaktyczno-wychowawczych, bo masowy napływ uczniów bez możliwości wybrania najlepszych wpływa na to, że tworzą się szkoły-giganty i klasy-obrazy o bardzo zróżnicowanym poziomie. Zaostrzenie wymagań spowodowałoby niepokojącą władzę drugoroczności i odsiew. Z kolei zaś odsiew podważa zasadę demokratyzacji, zwłaszcza że uderza częściej w młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego. A zresztą — jak mówią obrońcy szkoły średniej — najlepszy nauczyciel nie poradzi sobie z nie najlepszym materiałem uczniowskim, otrzymywanym w spuściznie ze szkoły podstawowej.

Tak oto obrywa szkolnictwo podstawowe, które z kolei broni się na swój sposób. My — powiada — w imię przymusu szkolnego przyjmujemy wszystkich uczniów i czujemy się w obowiązku wszystkim umożliwić ukończenie szkoły. Zbyt wielki odsiew, odpad i drugoroczność obciążają nie uczniów, nie rodziców, nie środowisko, ale nauczyciela, który musi się tłumaczyć, dlaczego lenia nie zagrzal do roboty, apatycznego nie zdołał zainteresować, a w niezdołnym nie odkrył zawiazków geniusza. Największa wina spada na nauczyciela języka polskiego i matematyki, bo mają najwięcej godzin tygodniowo do dyspozycji, najwięcej mogą dokonać. Oni więc ponoszą odpowiedzialność za nieudolność wypowiedzianą się na lekcjach innych przedmiotów, za nieporadność w rozumowaniu i posługiwaniu się wiedzą, nie zawsze należycie usystematyzowaną. A przecież — tak zresztą, jak i inni nauczyciele szkoły podstawowej — rekrutują się z dawnych liceów pedagogicznych, czy obecnych — obumierających już — studiów nauczycielskich, które w ciągu dwóch lat przygotowywały do rzemiosła nauczycielskiego nie kogo innego jak właśnie absolwentów „ogólniaka”.

Tu z kolei następuje uderzenie w zakłady kształcenia nauczycieli, które rejterując na pozycje defensywne, szermują takimi oto argumentami obronnymi:

— Weźmy słuchaczy studiów nauczycielskich. Nierzadko jest to materiał z drugiej niejako ręki, wybrakowany, bo rekrutujący się albo z tych, którym nie powiodło się na wyższej uczelni, albo np. z mężczyzn, którzy szukają ucieczki przed wojskiem. W związku z deficytowością pewnych kierunków przyjmuje się nieraz wszystkich chętnych. Poza tym program kształcenia nauczycieli „sięga, gdzie wzrok nie sięga”, grzesząc scientyzmem, czyli uczonością, toteż nasz absolwent, nie mając czasu na przypomnienie, przyswojenie i utrwalenie elementów podstawowych, nierzadko poprawiany jest przez uczniów na lekcjach, w sprawach zasadniczych i oczywistych.

Tak oto bumerang żalów, pretensji i zarzutów, ciśnięty przez szkolnictwo wyższe w szkoły szczebla niższego, wraca po zatoczeniu kręgu i wymierza cios w uczelnie akademickie, które zaczynają się bronić podobnymi argumentami: o niedomaganiach selekcji, trudnościach obiektywnych itp.

Dumając o tych sprawach obywatel, wiecznie drżący, czy jego kochany dzieciak dostanie się do szkoły średniej i czy potem przekroczy szczęśliwie próg egzaminów wstępnych na uczelnię wyższą, mimo woli wyszeptać sławny cytat z Reja:

Książd pana wini, pan książdza,  
A nam prostym zeuszad nędza.

I tak rodzi się stan psychiczny stanowiący podatną glebę dla zaboronnych wierzeń w fetysz protekcji i w skuteczność „smarowania”, jeśli powiada, że na rzetelne przygotowanie nie ma co liczyć, skoro jest nieosiągalne w szkole. Gdy zaś dzieciak nie zda egzaminu wstępnego do szkoły średniej czy wyższej na skutek złego przygotowania, instynkt samozachowawczy każe szukać przyczyn nie w słabym poziomie „oblatanych”, ale w lepszych „plecach” tych, którym się powiodło. W ten sposób do chóru biadołających i dyskryminujących się wzajemnie rzeźników poszczególnych szczebli szkolnictwa dołącza się ów zadumany obywatel.

Widomo jednak, że to polowanie na czarownicę nie jest poczynaniem konstruktywnym. Dopiero szersze i perspektywiczne spojrzenie na całokształt wzajemnych uwarunkowań przywróci dumającemu obywatelowi równowagę psychiczną.

## Rok bądź co bądź nietypowy

Alarm weszły w związku ze słabym przygotowaniem kandydatów na wyższe uczelnie niesłusznie chyba nabrał cech popłochu i niepotrzebnie rozpał w niektórych środowiskach psychozę obwiniania się. Przecież rok 1969/70 był właściwie nietypowy, skoro w szranki egzaminów wstępnych nie weszli absolwenci liceów ogólnokształcących, stanowiących główne źródło stosunkowo najlepiej przygotowanego narybku. Kandydaci, którzy przystąpili do egzaminów wstępnych w lipcu bieżącego roku to — poza absolwentami szkół zawodowych — albo słabi drugoroczniacy ze zbiorczych klas jedenastych, albo w dużym procencie maturzyści z lat dawnych. Niektórzy z tych ostatnich zdołali niejedno zapomnieć i nieco się wykoledzić. A prawie wszyscy przystąpili do egzaminów z demobilizującym przeświadczeniem, że z braku absolwentów „ogólniaka” będzie mniejsza konkurencja, więcej miejsc, a tym samym siła selekcyjna nie takie gęste, choć komunikaty prasowe odnośnych resortów ostrzegły, że nie ma co liczyć na taryfę ulgową.

## Preorientacja zawodowa pod ostrzałem

Od dawna powszechnie utyskuje się na niedoakwalifikację preorientacji zawodowej. Poważna część uczniów szkół podstawowych i średnich — to osobnicy o nie skryształizowanych uzdolnieniach i zainteresowaniach, zdani na łaskę przypadku, mody, koniunktury, namowy, wyrachowania w wyborze studiów. Te właśnie niezdeterminowane fale należałoby z wczesnym ukierunkować, by popłynęły kanałami zgodnymi z interesem gospodarki narodowej. Doceniając w pełni rolę nauk humanistycznych, IV Plenum KC PZPR racjonalizowało nadmierne nasycenie kadry humanistów na niektórych dyscyplinach: matematycznej, fizycznej, chemicznej, ekonomicznej, inżynierskiej.

Próba ukierunkowania owej fali było zwiększenie limitu przyjęć na jedne kierunki i zmniejszenie, a nawet czasowe zamknięcie dopływu kandydatów na inne. Do ostatniej niemal chwili informowano na łamach prasy o możliwości zmiany decyzji i o kierunkach lub wydziałach dysponujących większą liczbą wolnych miejsc. Zbyt

widać późna akcja nie poskutkowała, a w rezultacie z przepelnionych kierunków odpadały nawet wartościowi kandydaci, na deficytowe zaś dostają się z braku konkurencji dość słabi, którzy w toku studiów będą prawdopodobnie wystawiać niezbyt chlubną opinię o szkole podstawowej i średniej.

Komuz zresztą jak nie tym szkolom przypisać winę za brak preorientacji i za wadliwą geografiją zgłoszeń na studia polegającą na tym, że pewne regiony (np. Zielonogórskie, Koszalińskie, Kieleckie) wykazują mniejszy procent chętnych na studia niż inne (np. Szczecińskie i Katowickie — nie mówiąc już o takich ośrodkach wielkomiejskich, jak Warszawa czy Łódź)?

## A więc i szkoła nie bez winy

Nie będziemy zatem wybielać szkolnictwa za wszelką cenę. Swego czasu minister Jabłoński powiedział, że ilość absolwentów nie może się zwiększać kosztem jakości i że przygotowanie do uczelni wyższej zaczyna się już od I klasy szkoły podstawowej. Myśl to niezwykle cenna, bo po pierwsze: postuluje walkę z chytrym podnoszeniem krzywej wyników nauczania i wychowania dla dobrej opinii i świętego spokoju; a po drugie: uwpukla rolę nauczania początkowego i kunszt nauczycieli klas od I do IV, dzięki którym skorupka nasiąka za młodu tym, czym na starość trąci. Jakże często, niestety, uważa się nauczanie w klasach początkowych za despekt, obarczając nim nauczycieli młodych i niedoświadczonych, by tych wytrawnych nagradzać klasami starszymi! Podobną anomaliją widzimy nierzadko w uczelniach wyższych, gdzie na I roku studiów świeżo upieczony maturzysta, wyszedłszy spod opieki rutynowanego pedagoga licealnego, trafia w ręce młodzieńczego asystenta na ćwiczeniach, bo pracownik naukowy z poważnym stażem dydaktycznym nie ceni sobie na ogół ćwiczeń, zwłaszcza z pierwszorocznikami.

Inny kłopotliwy problem szkoły — to pewna beznadziejność wobec uczniów odbiegających od przeciętności, a więc zarówno upośledzonych, jak wybitnych — zwłaszcza o uzdolnieniach nietypowych. Jak twierdzą psychologowie, na 10 uczniów „wytępowanych” przez nauczycielstwo do szkół dla upośledzonych czy trudnych tylko jeden rzeczywiście powinien być tam odesłany. Nauczycielami widać kieruje chęć pozbycia się trudności i posuwania się po linii najmniejszego oporu. Niemniej szkolnictwo specjalne pokrywa zapotrzebowanie tylko w 60%, z resztą trzeba się zatem męczyć kosztem dzieci normalnych i wybitnych.

## Talenty są rentowne

Uczniom wybitnym grozi często nuda szkolna, od której ratują się wagarami i wyobcowaniem ze szkoły. Ratunek dla nich stanowią albo wybitni nauczyciele, albo pedagogowie nawet przeciętni, umiający jednak stosować zasadę indywidualizacji przez rozwijanie zainteresowań i uzdolnień, nauczanie problemowe, które polega na posługiwaniu się usystematyzowaną wiedzą w sposób badawczy i twórczy.

Pokierowanie właściwym wyborem szkoły średniej, wyzwalanie młodzieńczej energii i ekspresji we



Fot. Janusz Mendychowski

właściwie prowadzonej organizacji młodzieżowej czy kolach zainteresowań, organizowanie olimpiad naukowych w skali regionalnej i krajowej, tworzenie klas specjalnych dla wybitnie uzdolnionych w jakimś przedmiocie, różnicowanie liceum ogólnokształcącego — oto jakże opłacalne dla gospodarki narodowej próby ratowania talentów.

W zakresie postępu pedagogicznego dokonano w kraju wiele, kształcąc i dokształcając nauczycielstwo w ramach licznych kursów i klubów nowatorskich, dzięki niezmordowanej działalności ośrodków metodycznych. O osiągnięciach Lubelszczyzny w tym zakresie dowiedzieć się czytelnik „Kamenu” z relacji kuratora T. Kąckiego.

Nazbyt jednak często pokutuje mniemanie, że szkoła tylko kształci, wychowuje zaś środowisko pozaszkolne, stąd niektórzy złośliwie dzielą środowisko oświatowo-wychowawcze na szkołę i „antyszkołę”. Grozi to kapitulacją szkoły wobec niepożądanych oddziaływań pozaszkolnych i dydaktyzmem, czyli poprzestawaniem na nauczaniu bez aktywnego kształtowania postaw. Świadczyłoby to o bezsilności wobec przemożnych wpływów ulicy, podwórka, domu i środków masowego przekazu, co z kolei grozi zachwianiem jednolitego frontu wychowawczego.

Niepokój budzą wyniki ankiety studenckiej w „Perspektywach” (r. 1970, nr 9). Uzyskano wypowiedzi 1088 studentów z różnych ośrodków akademickich kraju. Oto fragment relacji:

Ciekawsi byliśmy, jakie źródła kształtowania zarówno postaw, jak i opinii naszych respondentów, jakie czynniki czy instytucje naszego życia miały największy wpływ na formowanie się poglądów, a tym samym osobowości młodzieży. Z wymienionych przez nas czynników młodzież wybrała następujące:

	procent badanych
rodzina	42,6
książki	29,3
radio i telewizja	19,3
przyjaciele i koledzy	4,8
organizacje młodzieżowe	4,3
czasopisma	3,6
dzienniki	2,2
filmy	2,0
kościoł	1,4
szkoła	1,1
inne	4,3

Pytaliśmy jedynie o czynnik, który miał wpływ — ich zdaniem — najcięższy, co — oczywiście — nie uwzględnia znaczenia innych wpływów.

W świetle powyższych danych rola szkoły wobec owej potężnej

„antyszkoły” wydaje się alarmująco niepokojąca. Zaniepokojeni tym przeprowadziliśmy wywiad z młodzieżą szkół podstawowych, zadając pytania typu: czy szkoła odgrywa w twoim życiu jakąkolwiek rolę? Dużą czy małą? czy jakąś wpływa na ciebie i jak? Najczęściej i najbardziej symptomatyczną odpowiedzią była mniej więcej taka: szkoła w moim życiu odgrywa bardzo dużą rolę, bo przez nią muszę się ciągle uczyć. Czyżby zatem poza funkcją dydaktyczną nie widzieliśmy małej funkcji wychowawczej, a więc oddziaływania na postawę? A może uczenie się ma dla nich wartość wychowującą dzięki nauczaniu wychowującemu?

## Szkola a dom w Międzynarodowym Roku Oświaty

Z ankiety „Perspektyw” wyziera przodząca rola rodziny, którą szkoła powinna wykorzystywać jako głównego sojusznika.

Zgromadzenie Ogólne ONZ ogłosiło rok 1970 Międzynarodowym Rokiem Oświaty, dla którego uświetnienia UNESCO sugeruje kilkanaście tematów. Wśród nich zwraca uwagę idea kształcenia ustawicznego, realizowana w naszym kraju imponująco w postaci kursów doskonalenia i korespondencyjnych, oświaty wojskowej czy zdrowotnej, studiów zaocznych, eksternistycznych, wieczorowych, podyplomowych itd. Powołany przez prezesa Rady Ministrów Komitet Obchodu MRO pod przewodnictwem ministra Jabłońskiego włącza się w nurt problematyki oświatowo-wychowawczej świata. Punktem kulminacyjnym będzie międzynarodowe sympozjum krajów Europy, zorganizowane w Polsce w końcu bieżącego roku. Temat spotkania — jakie istoty w świetle naszych dumań? funkcja rodziny w wychowaniu młodego pokolenia? Oby w toku owocnych obrad rozwiązano takie problemy, jak: czy szkoła potrafi zastąpić rodziców i opiekunów pracujących od rana do nocy i nie mogących się zająć dzieckiem? Czy wyrezyrodzina rozbita, wykolejona, zdemoralizowana? Czy przyjdzie w sukurs instytucjom opiekującym zastępującym rodzinę?

Bohdan Komorowski

## POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Niniejszym informujemy, że rekordzistami w zakresie publikowania na tych łamach, a w każdym razie w zakresie obfitości nadsyłanych tekstów, są Panowie: Maciej Empiowski o nieustalonym miejscu zamieszkania, S. L. alias K. L. z Bielawy, K. P. z Kokanina. Ostatnio dobiła do nich szczęśliwie Pan „Miś” z Lublina.

Kamena str. 10

Gratulacje, a w nagrodę miły uśmiech redaktora niniejszej rubryki, który to uśmiech można odbierać w każdą sobotę między 12 a 14, począwszy od 1 września br. Kiedy już stali korespondenci, filary bytu redaktora Poste-Restante, otrzymali satysfakcję, można spokojnie udzielić miejsca autorom bardziej efemerycznym. Zatem groch z kapustą, remanenty powakacyjne. Dawne dzieło niejakiego Adamowszczyka z Lublina:

Lewy gość bez przydziału grzechnie słucha potakuje z kobietami też nie za często kobiety lubi obszerne „Dobra kobieta to dużo kobiety” powiada  
Coś nam to przypomina, o, coś przypomina. Ale co? Kto powie, dla tego uśmiech dubeltoży między 12 a 14 itd. A tymczasem Dżois Poesji Lubelskiej (tekst w wyborze):  
Fidwin soch, fidwin soch,  
Buch, buch!  
Jak tam stara Paulinot  
Gonisz w piętkę?  
Aby do pierwszego!  
Siorczykom opady główek...  
Sarasustra, sasustra.

Samasustra, samasustra,  
Sasim, Amigo... Polaco... Dominico...  
Dziwica w kwiecie wieku  
Oddana na pożarcie lwom...  
Życie ukryte w pigułce...  
Bądź miłościwie mnie grzesznemu!  
Szatanie!  
Masz!  
Podwójna.  
Twarz!  
Hój się boga,  
Alec,  
Co ty wyprawiasz!!!  
Sara.  
Coś nam to przypomina, coś znowu przypomina. Co ale? W tej sprawie nasz niezależny organ rad by otrzymać obfitą korespondencję. Z dwuznacznym pozdrowieniem zostajemy.

Liście do KAMENY

## Muzyka „niepoważna”

Z dużym zainteresowaniem czytam pojawiające się od pewnego czasu w „Kamieniu” artykuły o muzyce „niepoważnej”, oby było ich jak najwięcej! Proszę jednak o staranniejszą redakcję. W bardzo interesującym wywiadzie z Kazimierzem Łojanem-Greckowskim ze zdziwieniem przeczytałem kilkakrotnie od-

mieniany termin: Szlawort. Otóż moga Redakcję zapewnić na słowo honoru, że takiego wyrazu nie ma, istnieje natomiast: Szlawort, Zmarzłimem się, że „Silne Grupy” grozi rozdzielenie, ponieważ Grzeszkowiak zamierza się wycofać jako wykonawca. Czyż najzabawniejszy w Polsce ruchomy kabaret miałby zniknąć? Natomiast w artykule o Opolu przeczytałem o „klezmerach”. Czyżby chodziło o skoczzenie z kłacz? Muzyków restauracyjnych nazywa się gwarowo klezmerami (proszę sprawdzić w felietonie Ibiwa w „Życiu Warszawy”, jeżeli mi nie wierzycie).

Wracając jeszcze do Grzeszkowiaka: artysta ten niestety, moim zdaniem, stał się na trzeci miejscu jako wykonawca. Wprawdzie rzeczywistość nie ma „dobrych warunków głosowych i dykcji, ale przecież stworzył bardzo przekonujący typ odwołujący. Natomiast, mimo iż wie doskonale, jak się piace przebrać, i u nas i za granicą, przecież sam takowej muzyki nie komponuje i o sukcesie jego piosenek decydują w pierwszym rzędzie teksty, notabene najlepsze teksty przez niego wykonywane są pios. Kazimierza Łojana. I wydaje mi się, że to właśnie Kazimierz Łojan powinien dostać nagrodę w Opolu w roku bieżącym za piosenkę „To ja moje”.

Adam Fiala

Lublin

## „Królestwo za łożką”

W naukowaniu do artykułu Mirosława Dereckiego „Królestwo za łożką” pragnę dorzucić jeszcze kilka faktów z tej, wciąż ważnej, turystycznej dziedziny. Otóż, przebiegająca niedawno w województwie krakowskim, zmuszony byłem kilkakrotnie korzystać z najtańszej ba-

zy noclegowej, mianowicie ze schroniska. Zamiast zapłacić się w zwykłym dyspensatorium, podam trzy przykłady: 1) Zakopanec — Schronisko Młodzieżowe PRSM (Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych) ul. Nowotarska 45. Skorzystał może każdy. Cena — 12 zł, pokój 12 — i więcej osobowo, gorąca woda, świetlica, hałas o czysto, modlił się wstąpienia na miejsce. Byłem zachwycony, niemal komfort. 2) Zakopane — Kuzniec — Schronisko Młodzieżowe „Jaworzynka”, pierwsza noc — 12 zł, druga — również, następnie — 20 zł. Pokoje 16-osobowe, brudno i niechlujnie (nie myjącej się drzew), Regulamin, przykurzony, ale wisi; „stoi” w nim, prawie niczego nie stwierdziłem (cieplej tody na lekarsko). W ubikacji drzwi również nie chcą się otworzyć, chyba że na klódkę, która też nie otwiera, wzbierającą dostępną. Okropność. 3) Kraków — Schronisko Szkolne (także PRSM, także dla „uczniactwa”) — Kościuszki 88. Pierwsza noc — 12 zł, następnie po 10 zł (za okazaniem legitymacji szkolnej, ZSP lub ZNP) odpowiednio 14 i 3 zł. Sale (stary klasztor) przestronne i widne, łożek 24, moc miejsca, czysto i bardzo uprzejmie (serdecznie, powitalnym), można sobie samemu pić (niepłatnie) na specjalnej kuchni. Bardzo miło.

Nie mogę sobie wytłumaczyć powodów, dla których ceny są tak wcale niedokładnie do nabyciwanego „zakopanec” — a już różnicowanie cen w poszczególnych schroniskach stanowi dla mnie niezgodną tajemnicą. A może by tak inni czytelnicy nadesłali swoje spostrzeżenia? — ciekawo, jak się przedstawia sytuacja w pozostałych regionach kraju.

Jan Krzysztof Wasilewski

Lublin



W UBIEGŁYM roku restauracja „Sarenka” w Sułcu, prowadzona przez miłośniczkę G.S. „samopomocą Chłopką”, przyniosła los tysięcy złotych... deficyt. Zarząd spłodził się na siebie i z powodzeniem zamierza przedkładać restaurację w przyszłym roku w bar samopomocy.

„Sarenka” mieści się w nowym budynku, jest przestronna, wygodna, przysmiętnie urządzona, miska kelnerki podają szybko i sprawnie smaczne potrawy. Na małym tarasiku przy wejściu urządzono kawiarenkę pod parasolami. Nie ma więc mowy o tym, żeby klisnę stroniła od restauracji. Tym bardziej przeraża, że „Sarenka” jest jedynym miejscowym zakładem gastronomicznym. Skąd wobec tego deficyt?

Sprawa jest prosta. Do Sułca przyjeżdża zbyt mało letników. Nie ma kasy. Przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej mówi mi, że w sezonie przyjeżdża około 2 tys. osób. Ale i to liczba powoli się zmniejsza. Gdy wzięliśmy pod uwagę, że większość mieszkańców to uczestnicy szkolnych kolonii, obozów harcerskich i ośrodka wczasowo-wypoczynkowego DOKP Lublin, jadącego w letniskach stoliczkach. Znaletnicy indywidualnie bardzo często stają się w swoich gospodarstwach. „Sarenka” jest jedną z najpiękniejszych miejscowości województwa lubelskiego. Posiada dobre połączenie kolejowe z Lublinem i Warszawą. Doskonale nadaje się na dwa- albo półtoradniowe wypadki z Lublina. Pociąg w kierunku Bełżca wyjeżdża ze stolicy województwa o czternastej z minutami, połączenie z Sułcem do Lublina mamy o 14.24 albo — jeśli się ktoś zasiedzi — nawet o północy. Gdyby jeszcze wprowadzono sezonowo na tę trasę pociąg pospieszny, czas podróży skróciłby się do trzech godzin. Zresztą w takim samym mniej więcej czasie można dojechać do Sułca autobusem, z przesiadką w Tomaszowie Lubelskim.

Informacja PTTK tak określa zespół przyrodniczo-krajoznawczy nazywany ogólnie „Sułcem”: „Składa się on z teren objęty rzekami Tancią, jej dopływami Jelenią i Potokiem Żostkiewiczem, pobliską grupą osiedli jak: Skwaraki, Rybnica i Rebrantki, Niska i Skitlice, ponadto Wał Różaniecki za Tancią. Kompleks ten tworzy pełną całość i zawiera rezerwy leśne z wodospadami i kaskadami, różnymi „szumami” w dolinie Jelenia i Tancią, rozległe łęgi wzdłuż Tancii, uroczyska „Zameczek” oraz starodrzewną puszcę jodłową koło Niska, jak też przyległe lasy sosnowe i mieszane. Najciekawsze partie krajoznawcze to „Morskie Oko” z wywierzyskiem, wodospad i szumy na Jeleniu („J”). Tyle sucha informacja, orientująca w terenie. A letnik przyjeżdżający do Sułca osobliwie, zeknie się tutaj z atmosferą „Jesnej góry”, takiej sprzed pięćdziesięciu czy stu lat, znajdzie zatrzymane grzyby i jagody. Po wschodzie tu tak czyste, że nocą można na niebie dostrzec przelatujące sputniki.

Dodatkową atrakcją Sułca są legendy i podania związane z tą miejscowością. W zaraniu państwa polskiego, na bagnach Tancii i Jelenia istniało grodzisko pradziejowe. Podobało się późniejszym wspaniałym zbudowanym na jego miejscu drewnianym zameczek, stał się częścią lasu otaczającego teren dawnego grodziska nosi nazwę „Zameczyska”. Legenda mówi dalej, że w siedemnastym wieku zameczek na wzgórzu oblegli Tatarzy. Nieliczna załoga broniła się jednak dzielnie. Wówczas oblegający jeśli się przemysłowego sposobu: wypuścili na zameczek chmurę gębi z zapalonymi szczytami. Drewniane budynki i palisady szybko zajęły się ogniem. Część załogi została wyjęta, część została w lasy. Inna legenda tłumaczy zdobyte

zameczek: przemyśle socjalizacji, a zniszczył zupełnie w początkach XX wieku.

Dziś w Sułcu, łączący się z wioską Sarenka, jest schronisko „Jesna” miejscowości, odległa sprężynka od wspaniałych skupisk ludzkich i zachowująca swój „Jesny” status, lecz posiadająca kino, ośrodek zdrowia, aptekę, pocztę, kilka sklepów, wyposażone w sprzęt, no i otoczone nieszczęśliwie restauracją „Sarenka”, której mogłoby pozostanie Sułcu niesiedzą minsto powstanie. Ale właśnie cały urok Sułca to tym, że napoleoński jezdnia z chodnikiem wyruszyła się i człowiek znajduje się w scenarii takiej, jak w pierwowzór „Pasterka”.

Niedomoga Sułca jest brak odpowiedniego kąpieliska. Liczne rzeki i strumienie są płytkie, a woda w nich lodowata, zaś niewielki zalet w samym centrum miejscowości zrodziły jest tzw. pokrzywka. Zehnietcie z nią powoduje przykre dolegliwości skóry. Jedynym wyjściem to wspólne wybudowanie basenu przez wszystkie instytucje posiadające kolonie i ośrodki wczasowe w Sułcu.

Dziś w Sułcu, łączący się z wioską Sarenka, jest schronisko „Jesna” miejscowości, odległa sprężynka od wspaniałych skupisk ludzkich i zachowująca swój „Jesny” status, lecz posiadająca kino, ośrodek zdrowia, aptekę, pocztę, kilka sklepów, wyposażone w sprzęt, no i otoczone nieszczęśliwie restauracją „Sarenka”, której mogłoby pozostanie Sułcu niesiedzą minsto powstanie. Ale właśnie cały urok Sułca to tym, że napoleoński jezdnia z chodnikiem wyruszyła się i człowiek znajduje się w scenarii takiej, jak w pierwowzór „Pasterka”.

Na zakończenie rzecz nieco już innej „brany”: to drodze na Rostocze czytalem w „Kulturze” artykuł o tym, jak to dyrektorzy różnych przedsiębiorstw zakazują kategorię nie swoim poddanym informowania o czynkach „wzrostkach” reporterów, którzy nie legitymują się odpowiednim od nich „piemkiem”. Na miejscu wywody autora potwierały się co do joty. Zainteresował mnie doskonałe zorganizowany, piękny ośrodek wczasowy z kierownictwem wypracowanym i uznaniem. Przyszedł mi rację. Ale kiedy zadane pierwsze pytanie zaczął się niespokojnie wstydzić, a potem zapytał czy mam zgodę dyrekcji na zadawanie pytań. Nie miałem. „W takim razie — powiedział kierownik bardzo grzecznie — niestety, nie mogę udzielić panu żadnych informacji. To zabronione”. „Niedzięk pan wymieni przynajmniej liczbę domków campingowych” — błagalem. Kierownik jest człowiekiem uczynnym: „Gdyby tak pan sam domki policzył...” — doradził mi. Nie policzyłem. Nie miałem na to zgody DOKP. Bałem się. A urzędem na Sułcu też jest piękny.

M. D.

# Jedźcie do Sułca!

zameczku zbudował jedną z miejscowych kobiet. Na zdradzie wyszła jednak jak najgorzej: Tatarzy, obawiając się aby i ich nie zdradziła, pościlił swojego „sprzymierzeńca” na wysokim wzgórzu. Tym tłumaczy się nazwa leżącej nieopodal „Babej Góry”.

Naprawdę zaś wiadomo tylko tyle, że na miejscu starego grodziska istniał w osiemnastym wieku ubogi klasztorak bazylikański. Rozbrano go w 1798 r. z powodu zniszczenia i... braku ułomnych. Do dzisiaj nazywają to miejsce „Zameczkiem” albo „Kocicłótkiem”. Przed wiekami w rejonie Sułca znajdował się „ośrodek przemysłowy” artydakcji szmolek: młyny, browary, foliuzie, tartaki, istniał nawet drobny przemysł szklarski i metalowy. W cz-



Rys. L. Szalecki

## MINUTA MYŚLENIA

### Co mówi Lublin?

KIEDY zaczyna przesilać się lato, to znaczy pokrywać się nalotem jesiennym, lekka jest aluzja, a jeszcze nie traci cech ukochanej przez rozlewnienie kanikuły, jest to pora jedna w roku z najatrakcyjniejszych. Nie skończyły się jeszcze urlopy, a więc trwa mile dobre far niente. Jeśli się trochę tym zrudziła, wkrótce rozpocznie się sezon biurowy, dostarczając nowych sensacyjek i plotek. Z owoców pojawiają się złociste klapy i z

tego słowa znaczenia” padnie na dodek, by słuchający lublinianin nie poczuł się dotknięty. Ijon się nie obawia i przyjalby owo określenie nawet bez tego najlepszego znaczenia. Bo Lublin, ten stary Lublin — mowa nie o samym Starym Mieście — to przede wszystkim kościelna krypta osobliwością akustyki wzmagać odgłos wymowy, kiedy jego umiłowanie zwróci się doń nieśmiały szepem. To kraja waskich i akrobnych uliczek, którymi o zmierzchu zimowym chadza legenda wieków tak pracowicie, a taka kobieca skrupulatnością podpatrywana przez pania Helene Platte. Można powiedzieć, że jest to miasto, w którym żyje poezja już nie przez sam fakt twórczości rozwijanej przez różnego rodzaju indywidualności i ugrupowania z ostatnia „Samsara” na czele, ale przez immanentną obecność ducha poetyckiego, tradycji poetyckiej obecnej w samym kolorycie tego miasta. To już dawno w czasie, i ten ton już dawno nie dźwięczy w lubliniach, ale przecież komus, kta pamięć jest w stanie przetrwać jeśli nie most, to przynajmniej ponton nad czasem, nie może być tajemniczą dladzemu tu i dladzemu tak tesknij Józef Czechowicz, dladzemu tu i dladzemu tak z wagabundką huncuzycznie huntuwał się młody Konrad Bielski. Lublin ma

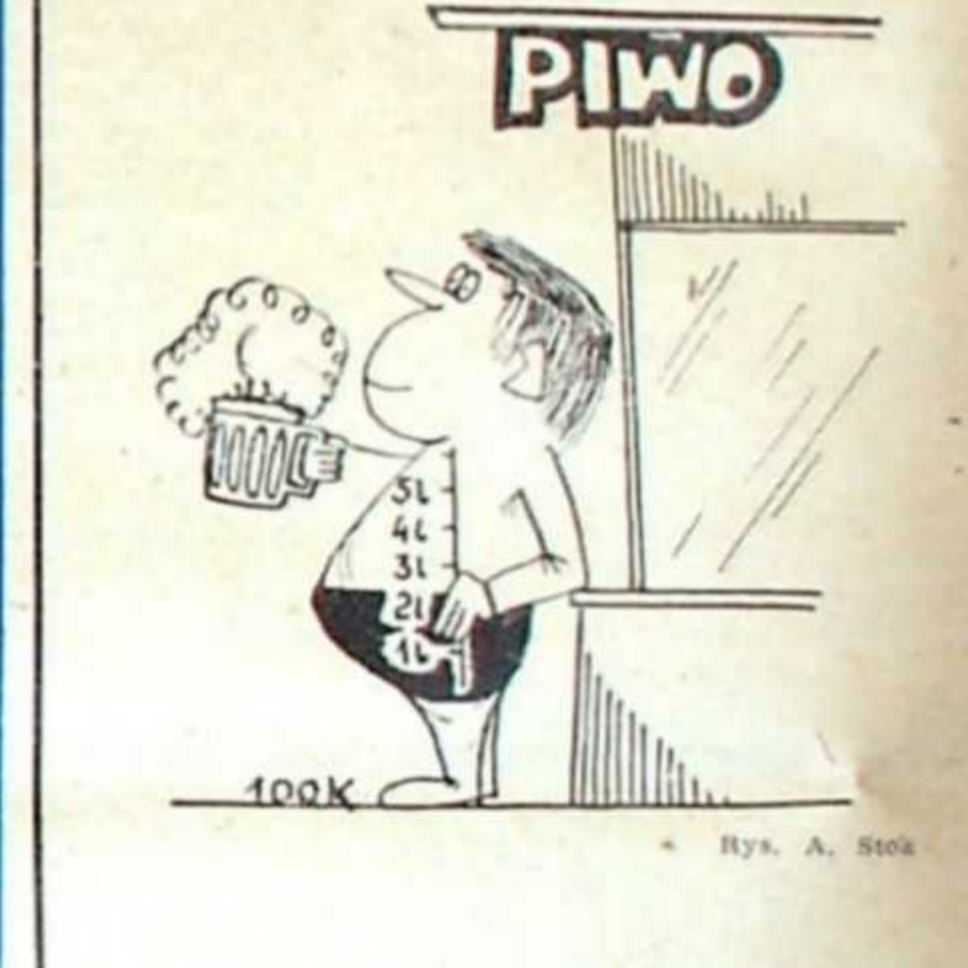
w sobie coś tak bezwzględne, jak „Kraina dzieciństwa”. Jakaś kowik jest, zawsze nad nią tęcza — i to ta kowikowa.

Tymczasem lato, jak się rzekło, zabiera się do odejścia. Staral się je kiedyś zatrzymać Galczyński: Lato, jakże cię ubłagać? Proszę jaką? Ikanie jakimi? Tak ci pino pójść i zabrac w walizce zielni i ptaki? Ptaków tyle. Zielni tyle. Lato, zarczaj chacie.

Zatrzymał tylko wieczne lato swojej poezji.

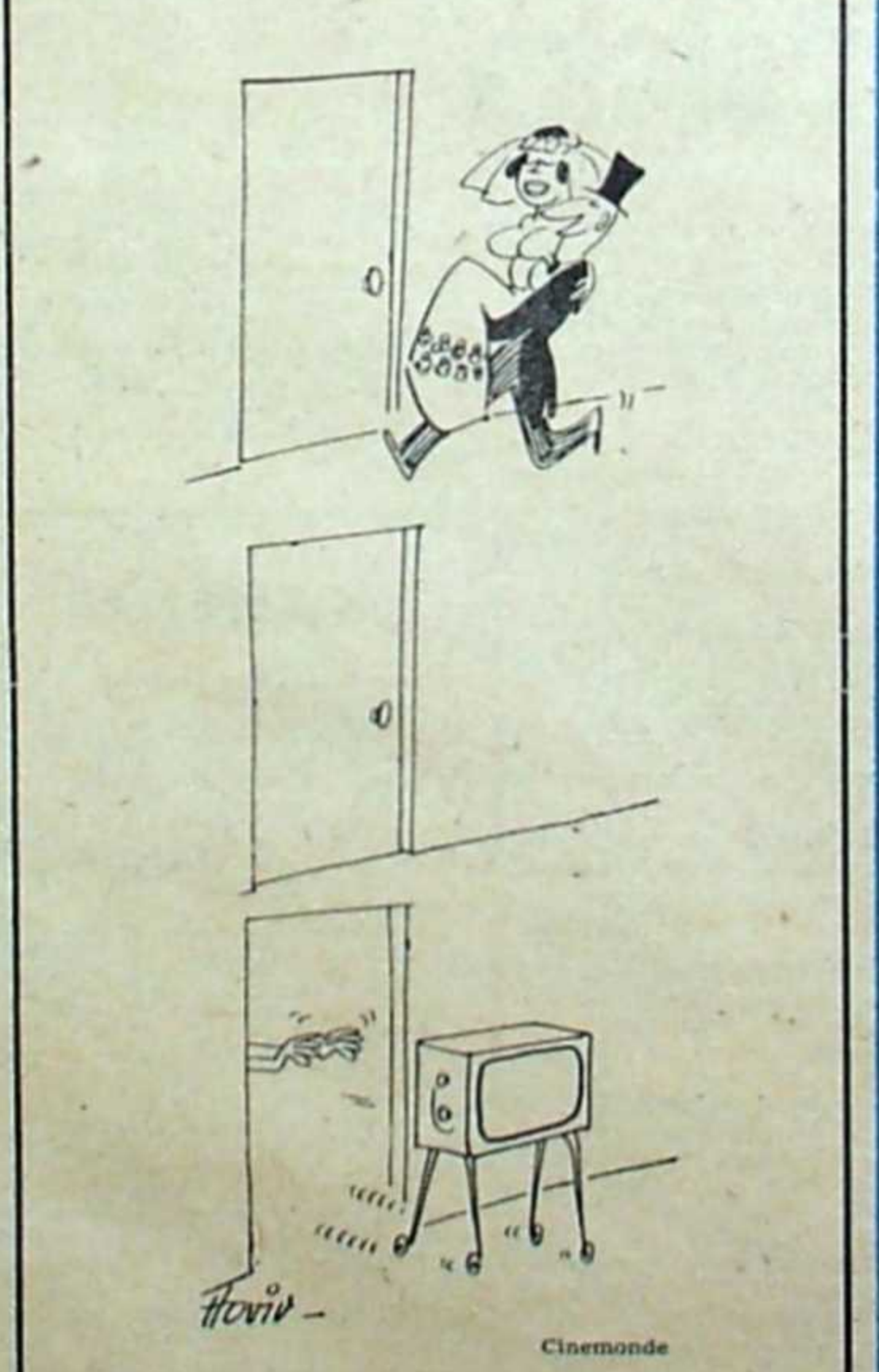
Ja zaś — panie redaktorze — muszę już kończyć, ponieważ ciekaw jestem bardzo w jaki sposób układają się promienie jeszcze sierpniowego słońca na balkonach i na gzymsach uliczek Pochyłej i Łazienkowskiej. Ze tam nie ma balkonów? Nie bądźmy drobiazgowi. Tam jest przede wszystkim ten Lublin, o którym zarzałem pisząc jak się mówi o „Starych Polakach”. Mój Lublin. Wierc proszę nie zamykać jeszcze numeru. Nie wykluczone, że odnośnie tych słonecznych promieni zyskam rewelacyjne wiadomości. Już teraz wiem, że są złoście i że nigdy się tak pięknie nie kładła, jak na pseudoklasykystyczne frontony starego Lublina.

Ijon



Rys. A. Stok

## Humor zagraniczny



## Odpowiedzi redakcji

„Teomidar” w Chetmie Lubelskim. Proszę Pana, najlepszą metodą na grzybotę egzystencjalną jest czytanie dobrej literatury, obracającej się wokół takowych grzybot. Literatura bowiem ma to do siebie, że rozładuje napięcia psychiczne czytelników. Radzimy skontaktować się z jakimś rozsądnym bibliotekarzem, który Panu zaleci odpowiednie lektury. Same wiersze Pańskie to dla nas „czarna przysłowia w mgle”, choć dla ich autora dobry sposób na czystowe przynajmniej odprężenie psychiczne, relaks wewnętrzny. Pozdrawiamy.

Z. A. w Wieluniu. Wierze nas zainteresowały, co wie Pan nie od dzisiaj, skoro już Pan w „Kamieniu” drukował. Opublikujemy w przyszłości jeden czy drugi tekst, gdyby jeszcze miał Pan dostęp i umiał korzystać z maszyny do pisania, szczęśliwie nasza byłaby spełnia, bo niewłaściwym odczytaniem rękopisu możemy w końcu „skrzywdzić” teksty, a na niczym nam tak nie zależy, jak na piętychmi dła poezji. Przemawia przez nas interes literatury. Pański, no i nasz własny.

T. W. w Gdańsku. Poezja Pańska nie podoba nam się, naiwna, młodzieniaszkowata jest, młodopolszczyzna czasem traci. Absolutnie nie stąnowi spełnienia teorii, o której tak poważnie napisano w liście. Tak to często bywa u studentów polonistyki. Świadomości literacka spora, przy całym mierzym możliwościach jej realizacji. Sama zaś teoria dosyć ciekawa, aczkolwiek przedstawiona na tyle enigmatycznie, że raczej domyślamy się jej porzytywny walorów, uroków intelektualnych, niż je wyraźnie odczytujemy. Asystencka indolencja prosię się nie przejmować. Teraz na studiach specjalizacja kwitnie. Ktoś znający się na 13-głoskowcu we wszystkich epokach polskiej literatury — nie musi znać się na problematyce mitu. Sytuacja dosyć wesoła.

S. S. w Brzozowie. Znajdujemy pewną wrażliwość poetycką, nawet spora — na barwę słowa, nastrój, smak refleksji. Teraz już tylko praca przed Panem, ciężka praca. I ona ma sens w tym przypadku. Wydaje nam się, że na razie brak Panu po prostu otrząśnięcia literackiego, pewnego rodzaju sprawności, którą nabywa się w miarę pisania, wiedzy, jakie słowo wymienić na inne, co usunąć, gdzie odwrócić szyć etc. Taka kosmetyka poetycka to też sprawa niebagatelna, a która jeszcze nie należy do Pana. Radzimy wybrzeć jakieś teksty, powiędzmy: za pół roku. Nadesłanych nie wyrzucamy. Zakroślenia serdeczne.

J. W. w Kielezysławach. Teksty nabazgranne, fragmenty motylwe do odczytania wskazują na bardzo mizerne predyspozycje literackie, narwiska Pan nie chce ujawnić, o sobie nie Pan nie napisał, tylko spinacz pozostał po Pańskim liście do redakcji. Ukłony jak najuprzejmiejsze.

A. M. w Kłodzku. Nie należy dosłownie traktować terminów, w których — naszym zdaniem — może coś wyjść, z czytelności twórczości. Przysłał Pan następnie opowiadania za rok i nie nadawaly się do publikacji. Widocznie jeszcze trzeba dalej pracować nad sobą. A Pan się zaraz pogniewał na redakcję, wyrzuty czyni subtelne. To nie jest dobra droga. Literatura, proszę Pana, to jest bardzo ciężka sprawa. Na nie głowy młodzieńcze, fochy. Trzeba myśleć i intensywnie pracować. Tylko tyle i aż tyle.

M. K. w Bydgoszcy — nie skorzystamy.

Tylko do 10 września listonosze, placówki pocztowe i „Ruch” przyjmują prenumeratę „Kamień” na IV kwartał 1970 roku oraz dalsze okresy kwartalne

## NOTY i notki

Do wielu kłopotów, związanych z opóźnionymi w tym roku zbiwami, zaliczyć należy jeszcze jeden, który chyba można nazwać fizjologiczno-produkcyjnym. Jest doniosł bowiem „Standard Ludu” (nr 18) w dużym tytule czolowej wiadomości „Rolnicy pracują ze zdrowym wysiłkiem”. Czyżby produkcja moczniwa w puławskich Azotach została nagie przerwana?

Dziennikarze sportowi nie od dziś zaścianczą język polski, walczą z tym językoznawcy i niektórzy felietoniści, ale bez skutku — przegrywają już na starcie. Ostatnio Jerzy Suszko w sprawozdaniu z lekkoatletycznych mistrzostw Polski piżawę o filmowcach i trójkoskoczu Szmidtzie znowu propaguje nową obrzydliwą językową („Kurier Polski” nr 18): „Skok... mamy na zwolnionym klatkazu”. Z przykrością wyznaję, że skolarzyło mi się to z zamykaniem kogoś w klatce...

Hardo nie lubię, gdy autorzy wywiadów przy okazji ogłaszają cytelnikom, że są na ty z osobami, z którymi przeprowadzali wywiad. Bo w ten sposób albo chcą pochwalić siebie, albo obniżyć autorytet rozmówcy — zależnie od punktu widzenia. Tak m. in. zrobił Jerzy Jaroszewicz, drukując w białostockich „Kontrastach” (nr 8) rozmowę z muzykiem Bohdanem Łukasiewiczem. I już chciałem na ten temat napisać małą filipikę, gdy w treści znalazłem jeszcze inną perelkę, tym razem z dziedziny intelektualnej odkrywczości: „Muszę Ci wyznać, że czasem dla swego choru pisuję teksty” — wyznał muzyk. A na to przeprowadzający wywiad zapytuje odkrywczo: „Słowne?”. Muzyk, niestety, potwierdził.

Emerytowany major WP Anzelm Borkowski od kilku już lat zamieszka w „Sztandarze Ludu” listy w których złośliwie — jak przystało na emeryta — wytyka instytucjom, urzędom i biurom różne błędy i śmieszności. W nr 192 pan emerytowany major zajął się sprawami ruchu drogowego w Lublinie i m. in. pisze: „Niedawno wyłot ulicy Szopna na Krakowskim Przedmieściu zmknięto”. Po pierwsze to „niedawno” oznacza więcej niż półtora roku — widocznie pan major żyje w rytmie przyspieszonym, a nie zwolnionym — jak na emeryta przystało. Po drugie to samo uczyniono równocześnie z wyłotami ulicy Godebskiego i Łopacińskiego na Krakowskim Przedmieściu. Widocznie czatodnemu majorowi nie starczyło już sił, aby przejść kilkadziesiąt metrów dalej. A szkoda.

Poczuwamy się więc do obowiązków wyjaśnienia, że po prostu wyszły prasowe źródła sekwograficzne — zali się publicznie redaktor „Mikroforum” w nr 33 „Forum” i dodaje — nie znajdujemy niemal nic z tej dziedziny”. Mimo to try cawtę stron 24, cała strona 29, cała strona 11, cała strona 13 oraz cała strona 2 i 3 tym właśnie sprawom są poświęcone. Teksty, fotografie, rysunki. Zależy się redaktorowi poczekać jednak co wybredniejszych czytelników: „Seksofala może jeszcze wrócić. Wtedy i pewnością znowu spłynię na te strony”. No proszę, jaka pocieszająca wiadomość. Tylko czy w takim razie „Forum” nie powinno zmienić tytułu na bardziej „sekwograficzny”, aby nie wprowadzać w błąd ludzi, interesujących się rzeczywiście światową polityką, gospodarką czy kulturą?

W jednym z programów telewizyjnych podziwiałem bramkarza chorowskiego „Ruchu” Jacka Kurkowskiego. Poem w wleat niedocenianym „Expressie Włocznym” (nr 18) przeczytałem, że „Jacek urodził się w Trzebieżowie, pow. Łobez, woj. lubelskie”. Jaka szkoda, że redakcja „Expressu Włocznego” w swoim czasie nie pomyślała o subskrybowaniu „Atlasu geograficznego”.

W sierpniowym numerze „Miesięcznika Literackiego” Jerzy Putrament opublikował esej na bardzo ciekawy i — niestety — wciąż aktualny temat: „Nadgorłjwość”. Najbardziej zastanowił mnie jednak podtytuł, jakiego w prasie literackiej jeszcze nie spotkałem: „Notatki do pracy doktorskiej”. Szokował w tym, czy promotor czyta „Miesięcznik Literacki”.

Jesteśmy krajem, w którym dzieje się wiele dziwnych rzeczy. Ostatnio pocła postanowiła nie posławać w tydzie i opracowała tzw. kod, który ma ułatwiać nadawcom adresowanie listów, a urzędnikom poczty — prawidłowe doreczenie korespondencji. „Express Włocznym” na własnym przykładzie podaje, jak ma wyglądać taki zakodowany adres: „Redakcja „Expressu Włocznego”, 02-017, Warszawa, Al. Jerozolimskie 23”. Jak dosłaje wiadomości, tym rewelacyjnym kodem zainteresowało się już kilkadziesiąt państw. Chyba dlatego, że tamtejsi posławcy nie umielać czytać po polsku. Bo mnie się wydaje, że adres według rewelacyjnego kodu jest dłuższy niż poprzednio.

JOD